



Linda Conrad

*Pasja i namiętność*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Chuck Gentry wyłączył komórkę. Wpatrywał się w nią przez chwilę, potem podniósł głowę i rozejrzał się po otaczających go wzgórzach.

Zastanawiał się, czy zgadzając się na niespodziewaną propozycję, podjął właściwą decyzję czy wręcz przeciwnie - sprowadził sobie na głowę kolejną katastrofę.

Właśnie skończył rozmawiać z Kyle'em Sullivanem, swoim długoletnim przyjacielem i partnerem w interesach,

Kyle zatelefonował z pobliskiego San Angelo o nieprzyzwoicie wczesnej godzinie i poprosił o przysługę. Jego nowy klient, a zarazem dawny kolega z wojska - gość o imieniu Frosty - potrzebował ochrony.

Kyle uznał, że leżące na teksańskim odludziu rancho będzie najbezpieczniejszym miejscem dla kogoś, kto wpadł w prawdziwe tarapaty.

Prawdę mówiąc, miał rację.

Chuck pomyślał z satysfakcją, że na czym jak na czym, ale na środkach bezpieczeństwa zna się naprą-

wdę dobrze. Lepiej radził sobie ze swoją, założoną niedawno, internetową firmą ochroniarską niż z życiem rodzinnym - to pewne.

Do tej chwili nie mógł się jeszcze pozbierać po wczorajszej rozmowie z bratem i siostrą. To z tego właśnie powodu stał teraz nad pustym grobem rodziców.

Zza drzew prześwitywał blask wschodzącego słońca, a Chuck, rozgniatając obcasem jakiś chwast, przeklinał w duchu cztery pokolenia Gentrych.

Największe pretensje kierował w stronę dwóch kamiennych nagrobków upamiętniających jego rodziców, ale te jak zwykle milczały jak zakłete.

Wiele by dał, żeby móc zadać rodzicom kilka pytań. Na przykład o to, co naprawdę stało się tamtej nocy, wiele lat temu, kiedy ich jacht został złapany przez sztorm na pełnym morzu.

Albo o to, co robić ze zbuntowanym rodzeństwem.

Od dwunastu lat Chuck wpatrywał się w wyryte na pustych grobach nazwiska T.A. Gentry'ego IV oraz jego żony Kay, z domu Hempstead, z poczuciem, że kamienne litery kpią sobie z jego pytań. Czasami wydawało mu się, że gdzieś pośród odległych wzgórz błąka się echo głosów jego rodziców, coraz słabsze w miarę upływu lat.

Pogodził się już, że nigdy nie pozna prawdy o tamtym dniu.

O brzasku z cmentarnego wzgórzeza roztaczał się

fantastyczny widok. Z jednej strony księżyc w pełni odbijał się od przymarzniętej gdzieś tam ziemi i barwił szron na ciemny odcień błękitu, a cienie wysokich topól ogromniały w jego zimnym świetle.

Ciągnąca się z drugiej strony dolina, skąpiana teraz w czerwonym blasku wychodzącego zza wzgórz słońca, wydawała się stać w ogniu. Świat mienił się kolorami, ale Chuck tego nie zauważał.

Wprawdzie od momentu, w którym jego rodziców uznano za zaginionych, Chuck przejął zarządzanie ranchem oraz opiekę nad małym rodzeństwem, ale bez chwili wahania zrzekłby się funkcji głowy rodu i przekazałby to zadanie ojcu.

Ale ponieważ nie kto inny, a właśnie ojciec nauczył go, że mężczyzna musi wypełniać obowiązki najlepiej jak potrafi, Chuck nie miał wyjścia. Porzucił marzenia i wrócił do domu, bo rodzina, a raczej to, co z niej pozostało, była rzeczą najważniejszą. Należało zrobić wszystko, żeby Cal i Abby chowali się cało i zdrowo.

Rzecz w tym, że oboje byli uparci jak muły i nie zamierzali go słuchać. A już na pewno nie wtedy, kiedy zaczynał mówić o ich bezpieczeństwie. Nic ich nie obchodziło, że mają do czynienia ze specjalistą w tej dziedzinie.

Jak ich przekonać, że naprawdę wie lepiej, co jest dla nich dobre?

Minęła godzina. Kuchnia zdążyła się nagrzać, wo-koło roznosił się aromat świeżo zaparzonej kawy, a je-go gości wciąż nie było. Chuck zaczął się martwić, że nie dał przyjacielowi dokładnych wskazówek, jak dojechać na ranczo. Kyle nie przyjeżdżał tu od ład-nych kilku lat.

Na szczęście do głównych zabudowań prowadziła tylko jedna droga. Jeśli Kyle się zgubił, łatwo będzie go znaleźć. Chuck złapał kurtkę i zdjął z haczyka klu-czyki do traka.

Kiedy schodził po drewnianych schodkach z we-randy na tyłach domu, w bramie pojawiła się chmura. Rozległ się pisk hamulców.

Chuck patrzył, jak z opadającego powoli kurzu wyłania się zielonkawy, sportowy samochód, bez wątpienia angielski. I bez wątpienia bardzo drogi.

Długa, niska maszyna o opływowych kształtach wyglądała w tym otoczeniu równie dziwnie, jak chło-pak stajenny dosiadający na przykład słonia.

Wprawdzie należące do Gentrych ranczo było no-woczesne, ale Chuck nie miał wątpliwości, że na chłopaku z miasta, jakim był Kyle, nie zrobi to żad-nego wrażenia. Ciekawe, co jego kumpel powie o urokach wiejskiego życia?

Auto miało przyciemnione szyby, więc nie miał jeszcze pojęcia, jak wygląda facet, któremu ma za-pewnić ochronę.

Krztusząc się kurzem, z którego sływał zachodni Teksas, przeszedł przez podwórze.

Kyle zdążył już wysiąść i właśnie mówił coś do swojego towarzysza.

Chuck wciąż go nie widział, bo otwarte od strony pasażera drzwi zasłaniały widok. Gość chyba wyjmował coś z tylnego siedzenia, bo zza drzwi sterczał tylko wypięty tyłek odziany w spodnie koloru khaki.

W końcu zasłona szarego kurzu opadła zupełnie i oczom Chucka ukazał się najzgrabniejszy i najbardziej seksowny tyłeczek, jaki było mu dane w życiu oglądać.

Co jest, do cholery?, pomyślał. Kto to jest?

Zza samochodu wyłonił się Kyle z rozanielonym uśmiechem.

Tymczasem tyłeczek zamienił się w wysoką, jasnowłosą kobietę w lotniczych okularach na pół twarzy, która ze śmiertelnie poważną miną lustrowała budynki otaczające podwórze.

Miała na sobie buty na płaskim obcasie, zwykłe wojskowe spodnie i koszulę, na którą narzuciła skórzaną lotniczą kurtkę w kolorze popiołu.

Zważywszy, że jej podbródek plasował się na wysokości jego ramienia, Chuck uznał, że dziewczyna ma co najmniej metr siedemdziesiąt wzrostu.

Gdzie jest Frosty Powell?

Musiał koniecznie pogadać z Kyle'em na osobno-

ści. Nie ma mowy, żeby ta dziewczyna została na ranczu choć przez chwilę.

- Cześć, stary! - Kyle klepnął go w ramię, a Frosty, która skończyła lustrację okolicy, obróciła twarz w jego stronę i omiotła go wzrokiem, poczynając od czubka starego kapelusza, a na zakurzonych kowbojkach z jaszczurczej skóry kończąc.

Chuck z trudem opanował chęć natychmiastowego wytarcia butów o dżinsy. Z obojętną miną wytrzymał jej badawcze spojrzenie.

Do diabła! Przecież w końcu to on jest tutaj u siebie!

Zauważył, że lekko drgnęła jej broda. Najwyraźniej i ona poczuła napięcie, jakie zapanowało między nimi. Wypuścił powietrze i trochę się rozluźnił.

Nigdy jeszcze nie widział takiej kobiety.

Wyglądała jak królowa wikingów: złote włosy splecione w gruby warkocz, przerzucony przez prawe ramię, kończył się w okolicach jej piersi... Niebieskie oczy, z których biła energia, potrafiły rzucać stalowe błyski...

Cała jej postawa świadczyła o zdecydowanym charakterze. Nie było wątpliwości, że ta osoba potrafi troszczyć się o siebie.

- Frosty, to jest mój stary przyjaciel, Chuck Centry - rozpoczął prezentację Kyle. - Chuck, poznaj...

- To jest Frosty Powell? - przerwał mu Chuck, z trudem ukrywając niedowierzanie.

- Tak.

Dziewczyna podeszła bliżej.

- Kapitan Meredith Powell z Sił Lotniczych Armii Stanów Zjednoczonych. Obecnie w stanie spoczynku - powiedziała, wyciągając rękę. - Miło mi, że pana w końcu poznaję. Przepraszam za Kyle'a. Znamy się od wieków i czasem zapomina, że mam prawdziwe imię.

Na jej ustach pojawił się ślad uśmiechu, ale oczy pozostały poważne.

Chucka zamurowało.

Uściskał jej dłoń, ale otworzył szeroko usta, niezdolny wydobyć z siebie choć słowo. Gorzej - kiedy usłyszał jej głos, głęboki i melodyjny, kryjący w sobie zapowiedź tajemnicy, przeszył go dreszcz pożądania. To uczucie szybko minęło, ale pozostał niepokój.

Musiał jak najszybciej wziąć się w garść. Na widok tej dziewczyny stracił równowagę ducha i wcale mu się to nie podobało.

Wszystko, co się z nią wiązało, wydawało się inne od tego, co znał. Wszystko, poczynając od uścisku dłoni: był zdecydowany, grzeczny, ale jakby za silny.

Kobiety zwykle podawały rękę z wahaniem, miękko i niezdecydowanie. Przez głowę przemknęło mu wspomnienie Ellen - kobiety, którą pragnął kochać i otaczać opieką przez resztę życia, ale mu się nie udało.



Ellen nosiła lekkie sukienki z falbankami i miała ciemne błyszczące włosy. Stojąca przed nim wysoka blondynka nie przypominała jej w niczym.

Odkasznął i cofnął dłoń. Po czym, ignorując dziewczynę, zwrócił się do Kyle'a:

- Wejźmy do środka. Zapraszam na kawę.
- Poczekaj chwilę. Przyniosę torbę Frosty. - Kyle ruszył w stronę samochodu, ale Chuck złapał go z całych sił za łokieć.
- Włóż, chłopie. Najpierw musimy pogadać.

Meredith otworzyła tylne drzwi i weszła do domu. Przez chwilę poczuła się jak Alicja, która znalazła się po drugiej stronie lustra, w Krainie Czarów.

To miejsce, a właściwie cała okolica, miało niesamowitą atmosferę. Można by przypuszczać, że człowiek cofnął się w czasie.

Podczas służby wojskowej zdarzyło się jej stacjonować za granicą. Bywała nawet na strategicznych placówkach w krajach Trzeciego Świata. Ale to miejsce? Jakby człowiek wylądował przypadkiem wśród dekoracji do westernu!

Do filmu, w którym rolę kowboja gra Chuck Gentry.

Kyle słowem nie wspomniał, że ta część Teksasu przypomina prawdziwy Dzikie Zachód. I że gospodarz tego domu jest równie autentycznym okazem.

Chuck (co to w ogóle za imię?) przypominał jej

- nie, nie kowboja - ale aktorów z dawnych wester-nów, którzy wcielali się w role szlachetnych kowbo-jów.

Przystojny, gładko wygolony, nosił obcisłe dżinsy i czarny kowbojski kapelusz zsunięty na czubek głowy.

Kiedy uściskał jej dłoń, zadrżała mu w oczy. Były piwne, błyszcząły inteligencją, ale im dłużej się w nie wpatrywała, tym wydawały się ciemniejsze i bardziej niebezpieczne. Z tego choćby powodu nie mogła zo-stać w tej głuszy.

- Pozwól, proszę. - Chuck wyjął jej z rąk kurtkę i powiesił na jednym z haczyków przybitych do nie-równych desek, którymi wyłożone były ściany nie-wielkiego przedpokoju. - Kuchnia jest tam - wskazał drzwi naprzeciwko wejścia i rzucił kapelusz na półkę. - Łapcie kubki i nalejcie sobie kawy. Świeżo zapa-rzona.

Kyle z miną bywalca poprowadził ją do kuchni, z której rozciągał się widok na zabudowania gospo-darcze i ciągnącą się po horyzont przestrzeń z -rzadka zarośniętą drzewami i krzewami.

Samo wewnątrz stanowiło przedziwną mieszankę starego i nowego. Wprawdzie szafki z surowego drewna były jak najprostsze, ale wykonano je z uwa-gą i precyzją. Garnki z nierdzewnej stali lśniły nowo-ścią i nie było na nich nawet jednej plamki.

Ogromny kominek, w którym mógłby swobodnie

stanać słusznego wzrostu mężczyzna, zajmował całą jedną ścianę - okopconą i dawno nie malowaną. Stożące obok skrzynki na drewno musiały mieć ze sto lat.

Za to ściana z drugiej strony była przeszklona - od blatów szafek po wysoki sufit.

Zlew otaczały donice z pnącymi i zwisającymi roślinami, które częściowo przesłaniały widok na rozciągający się z tej strony domu trawnik.

Kuchnia oglądana z tej strony przypominała wnętrza prezentowane w luksusowych magazynach ilustrowanych poświęconych modnym wnętrzom.

Dwa światy. Dwie epoki.

Meredith poczuła, że kręci się jej w głowie.

Bezwiednie odsunęła od stołu ciężkie krzesło i usiadła. Nad sobą, na suficie z ledwo ociosanych potężnych belek, zauważyła nowoczesne oświetlenie - rząd małych lampek na niewidocznej stąd szynie. Co za absurdalne połączenie. Pokręciła głową ze zdziwieniem.

- Niezły domek, co? - uśmiechnął się do niej Kyle, podając jej biało-niebieski kubek z parującą kawą.

- Interesujący - mruknęła. - Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Tylko że to niczego nie zmienia. Nie widzę powodu, żeby zamykał mnie tutaj jak w więzieniu, Kyle.

- Znowu zaczynasz? - Odwrócony plecami Kyle przygotowywał teraz kawę dla siebie. - Wszystko zostało już ustalone. Teraz trzeba to wykonać.

- Co zostało ustalone? - zapytał Chuck, stając w progu. - Chciałbym wiedzieć, co tu jest grane. - Przeszedł palcami włosy i Meredith zauważyła, że mają ten sam jasnobrazowy odcień, co jego oczy. - Najwyraźniej wy dwoje nie możecie się porozumieć.

- Bzdura! To nie jest moment na nieporozumienia!  
- Kyle pochylił się, żeby upić łyk kawy z napełnionego po brzegi kubka i przełknął głośno gorący napój.  
- Frosty wbiła sobie do głowy, że może funkcjonować jakby nigdy nic, kiedy jakiś oszalały morderca przeczesał cały kraj, żeby ją znaleźć i zastrzelić. Bagatelka.

Oburzona Meredith wstała gwałtownie i stanęła twarzą do obu mężczyzn.

- Nie zamierzam funkcjonować jakby nigdy nic  
- syknęła przez zaciśnięte zęby. - Nie mogę, nawet jeśli bym chciała, bo całkowicie zmieniły się okoliczności, w jakich żyję.

W ciągu kilku ostatnich dni rozmawiała o tym z Kyle'em dziesiątki razy. Miała dość.

Skoro nie udało jej się go przekonać, trzeba spróbować z kowbojem. Wydawał się bystry, więc może wspólnie uda się im przemówić Kyle'owi do rozumu.

- A więc... Chuck, sprawy mają się tak... - zaczęła. - Ten szaleniec zastrzelił generała na schodach Pentagonu na moich oczach. Były to akurat ostatnie

dni mojej zawodowej służby w lotnictwie. Już wcześniej złożyłam rezygnację, która została przyjęta, i równocześnie dostałam posadę w jednej z cywilnych linii lotniczych. Potem te dupki z policji federalnej wypuściły snajpera zabójcę z aresztu, a on przepadł jak kamień w wodę. W Trancon Air trzymali dla mnie pracę, ale niedawno oświadczyli, że nie mogą dłużej czekać.

Tu Meredith rozłożyła szeroko ręce i spojrzała na Chucka, szukając u niego zrozumienia. Zaraz jednak uznała, że taką postawą zbyt się odśłania, i szybko skrzyżowała ręce na piersiach.

- Powiedz sam - ciągnęła. - W jaki sposób ten szaleniec Richard Rourke domyśli się, gdzie mnie szukać, jeśli wysoko w chmurach zacznę szkolić pilotów?

- Rourke może i jest szaleńcem, ale na pewno nie jest głupi - wpadł jej w słowo Kyle. - Sama wiesz, że FBI zebrała dowody, że facet ma kontakty z licznymi ugrupowaniami paramilitarnymi w kraju, a ci faceci mają dostęp do wielu baz danych, które powinny być poufne. I nie przechytrzysz ich, jeśli zechcą cię zlokalizować. Choćby dlatego, że na liście płac będzie numer twojego ubezpieczenia.

Meredith otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Kyle, nie patrząc na nią, zwrócił się do Chucka:

- Gentry! Jesteś specem od ochrony tak samo jak

ja. Powiedz szczerze. Czy w jakimkolwiek publicznym miejscu kobieta o takim wyglądzie może pozostać niezauważona?

Chuck nic nie powiedział, ale zmierzył ją wzrokiem. Dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Co ty sobie myślisz? Nie masz prawa... - Rzuciła do Kyle'a z wściekłością.

Wtedy na ramieniu poczuła ciężar męskiej ręki - ręki przystojnego kowboja. Żadne słowa nie uciszyłyby jej z lepszym skutkiem.

- Czy to znaczy, że jesteś świadkiem zdolnym zidentyfikować człowieka, który zamordował generała Vanderringa? - zapytał Chuck, kiedy już odwróciła się do niego. - W całym kraju szukają Rourke'a. Jesteś jedyną osobą, która stoi na jego drodze do wolności. Tylko ty możesz złożyć obciążające go zeznania.

Patrzył na nią łagodniej, ale z wyraźną troską.

- Z tym człowiekiem nie można żartować. Powinnaś to wiedzieć - dodał.

- Żartować?! - Parsknęła ze złością.

- Wyluzuj, Frosty. Sama wiesz, że twoje argumenty są bez sensu. - Kyle objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Tak ją zaskoczył, że znowu umilkła.

- Komenda Główna chciała wziąć Frosty pod nadzór policyjny, dopóki nie złapią Rourke'a - wyjaśnił. - Uznali, że trzeba trzymać ją w areszcie. I wtedy poprosiła mnie o pomoc. Przekonałem ich, że znam

miejsce, w którym będzie równie bezpieczna, oraz faceta, który zdolny jest zapewnić jej ochronę. I mniej restrykcji.

Chuck pokiwał głową, jakby się zgadzał, że jego ranczo jest bezpieczniejsze od wszystkiego, co może zaproponować policja.

Meredith wiedziała, że sprawa jest przegrana.

Miała do wyboru federalne więzienie albo to ranczo. Musiała się poddać, chociaż wcale tego nie chciała.

Nie była wcale pewna, czy zakratowana cela byłaby dużo gorsza od rancza, na którym rolę anioła stróża odgrywa Samotny Strażnik.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Mogłeś mnie uprzedzić, że Frosty to kobieta - mruknął Chuck, kiedy wyszli z Kyle'em po bagaże Meredith.

- Hm... - Kyle przeszukiwał kieszenie w poszukiwaniu kluczyków do swojego jaguara. - Rzecz w tym, że sam się czasem zapominam. Nie myślę o niej jak o kobiecie.

Chuck podparł się pod boki i spojrzał na niego z powątpiewaniem.

- Naprawdę - upierał się Kyle. - Armia USA traci swojego najlepszego pilota. Meredith jest twarda jak stal i inteligentna. Nie mówiąc o tym, że umie się bić lepiej niż wszyscy znani mi faceci.

- Ale jest kobietą! - Chuck sam nie rozumiał, dlaczego podkreśla to z takim naciskiem. - To stawia mnie w niezręcznej sytuacji. Zwłaszcza kiedy mam zapewnić jej wygodę i bezpieczeństwo. - Skrzywił się z niesmakiem. - Wolałbym sto razy, żebyś przy-



wiózł mi jakiegoś zabijakę, który wszczyna burdy w każdym barze. Mógłbym go przynajmniej przeczołgać, gdyby czekanie dało się nam obu we znaki.

- Nie czepiaj się jej, Gentry. Daj jej szansę. To nie jest kobieta, wokół której facet musi skakać. A jeśli chodzi o przeczołgiwanie, uważaj. Po jednym ciosie Meredith możesz wylądować na granicy swojej posiadłości. - Kyle wyszczerzył się w uśmiechu.

- I jeszcze to imię. Jak można się tak nazywać?  
- Chuck nie przestawał się czepiać.

Kyle wzruszył ramionami.

- Prawie wszyscy piloci mają jakieś przezwisko. Zwykle z czasów pierwszych lotów treningowych.

- Co ona zrobiła, żeby na nie zasłużyć?

- Nic. - Kyle wyciągnął z bagażnika worek żeglarski i płaską walizczkę, a widząc, że Chuck patrzy na niego zaskoczony, wyjaśnił: - Nie bała się niczego. Żaden muskuł nie drgnął jej na twarzy. Ani jedna kropla potu nie pokazała się na czole. Nigdy. Jakby w jej żyłach płynęła lodowata woda nie krew. Jeden jedyny raz jakiś osioł próbował ją poderwać. Zmroziła go wzrokiem. Nikt później nie ośmielił się próbować.

- Rozumiem. Frosty. Kobieta z lodu. - Chuck kiwnął głową, ale wciąż nie wydawał się przekonany do końca. - Stój! - Złapał za łokieć Kyle'a, który ruszył w stronę domu.

- Co się z tobą dzieje, Gentry? - skrzywiony Kyle wyrwał się z żelaznego uścisku i schylił się po bagaże. - Nie chcesz pomóc człowiekowi w potrzebie? Nigdy nie wymigiwałeś się od takich zadań. To niepodobne do ciebie.

Cholera! Kyle znał go dobrze i wiedział, z której strony zażyć.

Oczywiście, miał rację. Od kiedy okazało się, że to Meredith jest świadkiem, o którym trąbią wszystkie stacje telewizyjne, Chuck zdawał sobie sprawę, że nie może odmówić jej pomocy.

Nie lubił tylko, kiedy ktoś nim manipulował.

Przeciagnał ręką po twarzy. Pod palcami wyczuł wczorajszy zarost. Nawet się nie ogolił.

Miał za sobą ciężkie dwadzieścia cztery godziny. Najgorsze od dwunastu lat, czyli od dnia, w którym zginęli rodzice.

Był wtedy całkowicie bezradny. Jak wszyscy. Mógł tylko siedzieć i modlić się, żeby to wszystko okazało się złym snem.

Tym razem zaczęło się od telefonu od Cala, jego młodszego brata, który zakomunikował, że zrobił dziecko jakiejś dziewczynie i zamierza się z nią ożenić. Kilka godzin później zadzwoniła Abby, żeby mu powiedzieć, że rzuca studia i wraca na ranczo. Uznała, że musi nauczyć się kierować ludźmi, zanim stary Jake, który jest zarządcą, odejdzie na emeryturę.

Potem był Kyle i ta lodowa księżniczka.

- Cholera, Kyle! Zapewnię jej bezpieczne schronienie, i co dalej? Co ja mam tu robić z jakąś kobietą, do diabła?

- Mnie się pytasz?! Mówiłem ci już, że dla mnie ona jest przede wszystkim pilotem, nie kobietą. I nie oczekuj, do cholery, że ci powiem, co można robić w tym rajku dla kowbojów.

Chuck zaklął pod nosem.

- Daj jej trochę luzu, dobrze? Potrzebny jej spokój - dodał Kyle pojednawczym tonem. - Ma za sobą kilka ciężkich miesięcy. Niedawno całkiem niespodziewanie jej ojciec umarł na zawał. Potem jej szef został zastrzelony na schodach Pentagonu, a ona stała tuż obok. Nie wiele brakowało, a sama dostałaby kulką w łeb.

Tym razem Kyle postanowił, że nie da się zatrzymać. Wraca do ciepłej kuchni i już!

- Tylko pamiętaj - ciągnął, idąc do domu - żeby trzymać ją z dala od internetu i od samolotów, bo każda z tych rzeczy stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo dla głównego świadka oskarżenia. Poza tym my jako firma nie możemy sobie pozwolić na utratę dobrego klienta. Ani na rumor w prasie.

Jasne, że nie, pomyślał Chuck. Ja już przez to przeszedłem. Dziękuję bardzo. Jedna afery w mediach wystarczy człowiekowi na całe życie.

- Dobrze znasz Kyle'a? - zapytała Meredith, patrząc na ruszającego jaguara, którym Kyle wracał do cywilizacji. I do wolności.

Chuck usiadł, wyciągnął nogi i skrzyżował je przed sobą.

- Poznaliśmy się prawie trzynaście lat temu - powiedział. - Byliśmy razem w Massachusetts Institute of Technology.

- Studiowałeś na MIT? Naprawdę? - Meredith wyprostowała się zdumiona.

Jej zdziwienie początkowo go zirykowało, ale szybko się opanował. Zaraz też zaczął bawić się sytuacją.

- Nie inaczej, proszę pani - zaczął z silnym teksańskim akcentem. - Jak to mawiał mój tatuś? - Zamknął oczy i wpatrzył się w sufit z miną wskazującą na wielki wysiłek umysłowy. - Taaa... Pamiętam. „Nie oceniaj ukąszenia po odgłosie, który wydaje waż”. Weźmy na przykład ten dom. Z zewnątrz - nic szczególnego. Ale wystarczy uważnie mu się przyjrzeć, żeby odkryć ślady pięciu pokoleń, które go zamieszkiwały i kochały.

Nie wiadomo który raz w życiu Meredith przeklinała swoją jasną cerę i skłonność do czerwienia się. I tym razem rumieniec zdradził jej zakłopotanie. Obronnym gestem skrzyżowała ręce na piersi.

Zastanawiała się, co powiedzieć, żeby nie wyjść na kompletną idiotkę.

- Przepraszam - wyjąkała. - Ta dziwna sytuacja najwyraźniej zabija we mnie wszelkie objawy inteligencji. Nie chciałam...

Chuck bagatelizuj ąco machnął ręką. Jednak Meredith wiedziała, że nie do końca przeszedł do porządku nad jej niezręczną uwagą. Nie zdejmował z niej uważnego wzroku.

Poczuła się jak skarcona uczennica. Zamrugwała. Tak. Ten facet umiał wprawić ją w zakłopotanie. I nie chodziło tylko o to, że był przystojny. Chodziło o coś więcej, ale nie miała pojęcia o co.

Jak dotąd, żaden mężczyzna nie był w stanie narużyć jej wewnętrznej równowagi. No, zdarzyło się to może raz, w zamierzchłej przeszłości. Ale przysięgła sobie, że raz na zawsze zapomni o tamtym pajacu.

Potrząsnęła głową, żeby odpędzić niemiłe wspomnienia. Cisza przeciągała się. Chuck dalej na nią patrzył.

Musiała wymyślić jakiś temat do rozmowy. I to szybko.

- Powiedziałeś: pięć pokoleń?

Pokiwał głową.

- To znaczy, że ty jesteś piątym pokoleniem! - do-tarło do niej nagle.

- *Si, señorita.* Theodore Aloysius Gentry V, do usług. - Skinał uprzejmie głową.

- Theodore? Aloysius? - Z ogromnym trudem opanowała chichot.

Chuck zrobił żalostną minę i westchnął ciężko.

- Tak. Wiem. Brzmi bardzo staroświecko. Pierwszy Theo, który tu się osiedlił, poślubił Marię Alonso Aragon de Castillo. W prezencie ślubnym od jej ojca dostali wielki szmat ziemi - część dawnego meksykańskiego latyfundium. Od tego czasu prawie cały ten obszar został włączony do naszego rancza. - Podszedł do zlewu i zaczął płukać kubki po kawie. - A teraz ja to odziedziczyłem.

- „Chuck” brzmi całkiem sympatycznie - powiedziała. Tym razem udało się jej opanować uśmiech.

- W przeszłości był już Theo, Teddy i Tres. Mój ojca nazywali T.A. Mnie przypadł w udziale Chuck, chociaż mama czasami wołała na mnie Tad.

- Nie, Tad do ciebie nie pasuje - zaprotestowała Meredith stanowczo. Potem zawahała się chwilę i zapytała: - Powiedziałeś, że mama nazywała cię... Czy to znaczy, że ona nie żyje?

Uff. Od początku nie miał ochoty rozmawiać z nią o rodzinie. I stało się. Wcześniej czy później musiało paść pytanie o jego rodziców.

Tylko że skąd królowa Amazonek mogła wiedzieć, że mimo upływu lat ten temat jest dla niego wciąż bolesny?

- Coś w tym rodzaju - mruknął i od razu tego porzucił. Z jej miny wynikało jasno, że ta niezbyt

grzeczna odpowiedź zabrzmiała trochę obraźliwie. -  
Przepraszam. Nie bierz sobie do serca mojego tonu.  
Prawdę mówiąc, nikt nie może mieć pewności, czy  
moi rodzice żyją, czy nie. Dwanaście lat temu wypły-  
nęli w rejs i nigdy nie wrócili.

- O Boże! - wyszeptała z przerażeniem.

Była taka blada, że Chuck miał ochotę wziąć ją za  
rękę i uspokoić. Powstrzymał się w ostatniej chwili.  
Nie dlatego, że nie chciał przyciągnąć jej do siebie.  
Chciałby i to bardzo, ale wiedział, że Meredith nie  
zyczy sobie nieproszonej zażyłości.

- To było dawno. Czas robi swoje... - Właśnie,  
pomyślał. Czas. Dobrze byłoby już stąd wyjść. Wstał  
więc i ruszył do schodów. - Czas leczy wszystkie  
rany - rzucił przez ramię. - Pod warunkiem, że masz  
dość cierpliwości, żeby tego doczekać.

Potem schylił się po jej bagaże.

Widząc to, Meredith zerwała się z miejsca.

- Co robisz?! - zawołała, próbując wyrwać mu  
torby z ręki.

- Zanoszę twoje rzeczy do pokoju, w którym bę-  
dziesz mieszkać - odpowiedział i nic sobie z niej nie  
robiąc, podniósł torby.

- Nie jestem upośledzona. Doskonale dam sobie  
radę sama i sama to zaniosę. Bądź uprzejmy powie-  
dzieć mi gdzie.

Uniosła podbródek i z rękami na biodrach stanęła

naprzeciwko niego. Jej oczy miały zimne błyski. Była wściekła. I cudowna jednocześnie.

Chuck uznał, że jest śliczna, kiedy marszczy ze złości nos. Postanowił zaczekać i zobaczyć, jakie niespodzianki go czekają, kiedy Meredith zdenerwuje się jeszcze bardziej.

Postawił bagaże na podłodze i patrzył na nią w milczeniu, unosząc jedną brew.

Po dwóch minutach ciszy Meredith nie wytrzymała. Zamrugła oczami i poruszyła się niespokojnie.

Chuck był wdzięczny losowi, że to ona złamała się pierwsza.

Czuł cienką strużkę potu spływającą mu po karku. Jeszcze kilka sekund, a sam by się poddał. Na szczęście był górą. I bardzo dobrze.

Nagle poczuł przemożną chęć, żeby przyciągnąć ją do siebie i wbić się ustami w te doskonale wykrojone usta. Na myśl o tym ciało przeszył mu dreszcz.

Tylko że... Kyle, prosząc go o zapewnienie jej ochrony, miał na myśli coś zupełnie innego.

- Posłuchaj, kochanie - powiedział w końcu z teksańskim zaspiewem. - Obojgu nam potrzebny jest rozejm, tym bardziej, że nie jestem twoim wrogiem. Robię to, co dla ciebie najlepsze.

Na jej ustach pojawiło się coś na kształt uśmiechu. Rany! Chuck spocił się jeszcze bardziej. Ta kobieta była jeszcze piękniejsza, kiedy się uśmiechała.



- Jestem zmuszona skorzystać z twojej gościnności, kowboju. Jasne, że musimy zawrzeć rozejm. Przynajmniej na czas, który muszę spędzić pod tym dachem. - Teraz ona wzięła się pod boki i, unosząc brew, patrzyła mu prosto w oczy. - Jednak mogę cię zapewnić, że to ja wiem, co jest dla mnie najlepsze, nie ty. I dlatego sama zaniosę swoje rzeczy. Nalegam na to!

Sięgnęła po torbę.

- I nie jestem dla ciebie żadnym kochaniem - dodała.  
- W porządku. Dźwigaj sobie, co chcesz. Ani mnie to ziębi, ani grzeje. Ale ponieważ jesteśmy w moim domu - uśmiechnął się do niej słodko i wszedł na pierwszy stopień - pozwól, że zaprowadzę cię na górę... kochanie.

Meredith poszła za nim bez słowa. Schody prowadziły do obszernego holu, na którego końcu zauważyła trzy lub cztery schodki. Prawdopodobnie wiodły do innego skrzydła domu, zbudowanego w całkiem innym czasie niż to, w którym teraz stali.

Jej pokój, a może powinna powiedzieć - cela - znajdował się na prawo od schodów. Chuck otworzył drzwi i zatrzymał się w progu, puszczając ją przodem.

Z wielką ciekawością rozejrzała się dokoła. Pokój miał gipsowane, białe ściany, gdzieniegdzie popękane. Sufit podtrzymywały grube belki z pociemniałe-

go, niemal czarnego drewna. Bez wątplenia wewnątrz musiało mieć swoje lata.

Meble z kolei były raczej nowe - porządne, solidne i wielkie.

Naprzeciwko drzwi stała potężna komoda. Szuflady nie miały rączek, ale wgłębienia wycięte wprost w drewnie. Meredith była pewna, że mebel został zbudowany tu, na ranczu, z przeznaczeniem do tego właśnie pokoju. Łóżko, zdolne pomieścić ze trzy osoby jej rozmiarów, przykryte było narzutą z miękkiego, beżowego futra. Obok stał wygodny fotel, również ogromny, pokryty jasną skórą, dopasowaną do koloru narzuty, i niewielki stolik z mosiężnym blatem. Wokoło pachniało woskiem do polerowania drewna.

Nie było wątpliwości, że to wewnątrz należało do mężczyzny. I to mężczyzny obdarzonego niezłym smakiem.

- Czy to twój pokój? - Odwróciła się do Chucka który wciąż stał w progu i niepewną miną obserwował jej reakcję. - Nie chciałabym cię stąd wyrzucać.

- Nie - potrząsnął głową. Zawahał się i dodał: - Kiedyś mieszkał tu mój brat. Ale nie przejmuj się. Cał wyjechał stąd osiem lat temu. Zawsze miał fioła na punkcie samochodów. Postanowił zostać kierowcą rajdowym. Jakiś czas temu kazałem odnowić ten pokój na wypadek, gdyby się opamiętał i wrócił.

Przestąpił z nogi na nogę, ale dalej stał w progu.

- Teraz na pewno do tego nie dojdzie - dodał ponuro.

- Tak? - Meredith nie chciała być wścibska, ale zżerała ją ciekawość.

- Dzisiaj jest jego ślub. - Chuck skrzywił się, jakby zjadł cytrynę. - Ona jest w ciąży, więc ślub był ekspresowy.

Nie wiedziała, jak zareagować.

- Być może, kiedy urodzi się im dziecko, zechcą być bliżej rodziny? - bąknęła niepewnie. - Albo twój brat uzna, że rajdy samochodowe to zbyt niebezpieczne zajęcie?

Chuck pokręcił głową.

- Nie wydaje mi się. Cal jest wielką gwiazdą. W zeszłym roku zdobył puchar. Wygrał prawie wszystko, co było do wygrania. W tym roku wyprzedza w punktacji całą stawkę rywali. Mógłby nawet opuścić kilka rajdów, a i tak będzie mistrzem. Poza tym podpisał bardzo korzystny kontrakt z telewizją. Życie na ranchu go nudzi. Nie wróci tu nawet dla dobra swojego dziecka.

Chuck był tak przygnębiony, że poczuła się w obowiązku go pocieszyć.

- Wydaje mi się - uśmiechnęła się do niego - że na ranchu też zdarzają się ekscytujące chwile.

Rzucił jej szybkie, uważne spojrzenie - spojrzenie godne pilota F-16.

- Wiesz? Kiedy się uśmiechasz, masz takie łagodne oczy. Powinnaś robić to częściej - znowu mówił z teksańskim akcentem.

Tylko że to, co mówił, kłóciło się całkowicie z bezczelnie intensywnym spojrzeniem, którym ją przewiercał.

Ogarnęła ją fala ciepła. Cholera! Za chwilę znowu zaczerwieni się po uszy. Tak bywa, kiedy człowiek jest zbyt grzeczny dla bezczelnych facetów. Powinna była wcześniej o tym pomyśleć.

Szybko odwróciła się tyłem do niego, otworzyła torbę i zaczęła wyjmować swoje rzeczy. Nie było tego wiele. Umiała się pakować. Poza tym, nie miała wielu ubrań: kilka podkoszulek i bluz, spodnie, szorty i buty do biegania oraz jeden elegancki kostium, który kupiła rok temu na przyjęcie, jakie jej ojciec wydawał z okazji przejścia na emeryturę. Niemal wszystko wzięła ze sobą.

Do niedawna nosiła wyłącznie strój pilota. No i mundur. Nie było sensu kupować niczego innego. Miała nadzieję, że tak zostanie. W końcu za chwilę znowu zaczniesz latać, prawda?

Otworzyła szufladę komody i zaczęła wrzucać tam swoje rzeczy. Właśnie wtedy poczuła, że Chuck stoi tuż za nią.

Odwróciła się gwałtownie. Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć. Ten facet był nieprzewidywalny.

Tymczasem Chuck schylił się, żeby podnieść coś z podłogi. Kiedy się wyprostował, trzymał w rękach parę czarnych, satynowych majteczek.

Zachwyciła go miękkość niemal przezroczystego materiału i jego jedwabisty połysk. Nie spodziewał się czegoś podobnego w bagażu tego wikinga płci żeńskiej.

Podszedł do Meredith z wyciągniętą ręką, udając że nie widzi jej wściekłego spojrzenia.

- Proszę - powiedział. - Bardzo seksowne majteczki jak na pilota.

Gwałtownym ruchem wyrwała mu je z ręki. Zaciśnięta pięści i zmrużyła oczy.

Wydawało się, że chce się z nim bić. Chuck nie ukrywał rozbawienia.

Swoją drogą, ta dziewczyna była piekielnie atrakcyjna, nawet wtedy, kiedy dosłownie pękała ze złości. Zgrabna, ale nie za szczupła. Widział to, mimo że jej luźne, drelichowe spodnie ukrywały wszystko, co można ukryć. On sam zmieściłby się w nie bez trudu.

No i do czego to doszło? Podobno ma być jej ochroniarzem. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że będzie musiał chronić ją przed sobą samym. Mimo to stał i wstrzymując oddech, patrzył zafascynowany.

Ona udawała, że nic sobie z tego nie robi, i układała rzeczy w komodzie.

W końcu wziął się w garść. A raczej wziął w garść swoje szalejące hormony. Przełknął ślinę.

Podszedł do okna i rozsunał ciężkie zasłony. Do środka wpadło słońce i rozświetliło wszystkie kąty, a on od razu się uspokoił.

Musi traktować ją jak swoją klientkę, postanowił. Albo siostrę. Albo kumpla, z którym można pogadać, kiedy nie ma nic do roboty.

- A więc - zaczął, wciąż wyglądając przez okno.  
- Co lubisz robić w wolnym czasie, Meredith? Może jeździć konno? Albo łowić ryby?

Meredith zatrzasnęła szufladę i rzuciła pusty worek w kąć przyległej garderoby. Jak na więzienną celę, warunki miała tu luksusowe. Gdyby jeszcze kto inny był jej strażnikiem!

To niedobrze, że na widok Chucka serce zaczyna jej bić w przyspieszonym tempie. Nie była przygotowana na miękki, niski ton jego głosu ani na dreszcz, które chodził jej po plecach, kiedy się odzywał.

Odwróciła się do niego i odpowiedziała szorstko:

- Nie wydaje mi się, żebyś na tym odludziu znalazł dla mnie jakąś rozrywkę, Gentry. No, chyba że ukrywacie tu gdzieś jakieś samoloty.

Wstydziła się swojego tonu, ale nie mogła się powstrzymać

- Właściwie to mamy tu kilka samolotów - powiedział spokojnie. - Oczywiście nie są to ani my-

śliwce, ani fikuśne odrzutowce, którymi wozi się generałów. Jest kilka jednosilnikowych samolocików, używanych do pracy na ranczu i mały odrzutowy learjet... - Przerwał w pół zdania. Zachował się jak ktoś, kto w połowie drogi na wakacje przypomniał sobie, że nie wyłączył żelazka. - Nie! Żadne samoloty nie wchodzi w grę. Dopóki tu jesteś, zapomnij o lataniu. I lepiej teraz wymyślmy jakąś historię, która wyjaśniłaby twój pobyt tutaj. Opowieść o przystojnej pani pilot, która spędza wakacje na ranczu, nie brzmi przekonująco. Ludzie zaczęliby gadać, a do tego nie można dopuścić. Bezpieczeństwo przede wszystkim.

Zachowywał się dokładnie jak jej ojciec. Nie znosiła takiego traktowania. Dlaczego mężczyźni tak bardzo lubią nią komenderować?

Robił to nawet facet, z którym była związana uczuciowo.

Zagryzła zęby. Miała ochotę walnąć Chucka w szczękę i uciec stąd na wolność.

Przecież nie wytrzyma ani dnia w tej głuszy z... z kowbojem w charakterze towarzysza.

Wypuściła głośno powietrze i ciężko usiadła w wielkim klubowym fotelu.

- Nie podejrzewam, żeby gdzieś w okolicy była dobra księgarnia, co? Ani dobra sala gimnastyczna? Nie w tej dziurze.

Chuck nie odpowiedział. Myślała, że jest obrażony. Nie miała pojęcia, że w tej właśnie chwili podziwiała jej przeświecone słońcem włosy, które ułożyły się w promienną aureolę wokół twarzy.

W głębi duszy uznał, że Meredith przypomina mu anioła z jakiegoś obrazu dawnych mistrzów. Kompletnie stracił głowę. Poczł się jak komputer, którego płyta główna przestała nagle działać.

Zapomniał o jej złośliwościach i niechęci do współpracy. O tym, że jest jego klientką, i to bardzo trudną klientką. I o tym, że miał traktować ją jak siostrę albo kumpla.

Wiedział tylko, że jest piękna. W tym świetle nie była już królową Amazonek, ale delikatną lalką z chińskiej porcelany.

Wsadził ręce do kieszeni i zmusił się do bezosobowego uśmiechu.

- Zgadłaś. Nie ma tu ani księgarni, ani sali gimnastycznej. Ale nie martw się, złotko. Coś wymyślimy.



### ROZDZIAŁ TRZECI

Po czterdziestu ośmiu godzinach pobytu na ranczu Meredith czuła, że powoli zaczyna wracać do normy.

Była spokojna, wypoczęta i - znudzona do granic.

Przez cały ten czas miała nadzieję, że Chuck jakoś się nią zajmie, na przykład pokaże jej okolicę, tymczasem prawie go nie widywała.

Trzeciego ranka uznała, że ma dość, i postanowiła pobiegać.

Wprawdzie piaszczyste, wiejskie drogi nie bardzo nadawały się do joggingu, ale obsadzona drzewami aleja, która zaczynała się przy bramie wjazdowej, wyglądała naprawdę malowniczo.

Poza tym ranne powietrze było rześkie i czyste, nigdzie nie jeździły samochody ani nie kręcili się inni biegacze, z którymi wypadałoby zamienić grzeczne dwa słowa.

Oddechnęła głęboko i zaczęła powoli przyspieszać. Wokół pachniało szałwią i goździkami oraz... Fui! To musiał być krowi nawóz. Meredith zmarszczyła nos

z niesmakiem, ale zaraz powiedziała sobie, że czuła już gorsze zapachy.

Wprawdzie w tej chwili nie mogła sobie przypomnieć żadnego smrodu gorszego niż ten, ale postanowiła, że się nie złamie, i biegła dalej.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio mogła czytać książki i objąć się do woli. Na tym polegał luksus wolności. Wolności, która była blisko, na wyciągnięcie ręki. Meredith wierzyła, że już niedługo, pierwszy raz w życiu, będzie mogła sama decydować o swoim losie.

I wtedy przed głowę przemknęło jej wspomnienie tego, co przeszła. Poczowała nagły ból w piersiach.

Przystanąła i z rękami opartymi o kolana próbowała uspokoić oddech. Najważniejsze, żeby samemu przejąć kontrolę nad własnym życiem. Musi do tego doprowadzić!

Do tej pory bowiem w każdej chwili poddana była jakiemuś przymusowi. Zawsze obok był ktoś, kto twierdził, że wie lepiej, co jest dla niej dobre. A kiedy już-już miała wyrwać się ze swojego więzienia, idiotyczny splot okoliczności sprawił, że znalazła się w tej dziurze, zdana na łaskę faceta, którego zadaniem było zapewnienie jej bezpieczeństwa.

Chciała sama odpowiadać za swoje bezpieczeństwo. Zawsze tak było. Przecież umie się bić. Umiałyby też się obronić.

Głos rozsądku mówił jej wprawdzie, że w obecnej

sytuacji trudno o lepsze wyjście niż pobyt na ranczu, ale właśnie teraz nie zamierzała myśleć logicznie.

Rozejrzała się dokoła. W każdą stronę aż po horyzont ciągnęły się połacie płaskiej ziemi pokrytej brunatną trawą i podzielonej płotami. Gdzieś tam tylko rosły kępy przysadzystych drzew. Wczoraj w odległości widziała jakichś ludzi na koniach. I nic więcej. Pustka.

Biegając, katem oka rejestrowała pojedyncze krowy, żujące trawę przy drodze.

Na ich widok czuła gęśią skórę na ramionach. Postanowiła jednak ignorować głupie reakcje swojego ciała. Wmawiała sobie - zgodnie z prawdą zresztą - że zwierzęta nie zwracają na nią uwagi.

Najgorsze co mogłaby teraz zrobić - to pozwolić, żeby dawne fobie i słabości zawładnęły nią na nowo.

Z jej perspektywy życie na ranczu wydawało się statyczne i nudne. Tylko gospodarz nie wydawał się nudny. Jeśli się dobrze zastanowić, był na swój sposób uprzejmy.

Pierwszego dnia zaprowadził ją do rodzinnej biblioteki, którą zostawił do jej dyspozycji. Okazało się także, że w odległym końcu domu mieści się doskonale wyposażona siłownia.

Zimą nawet kowboje muszą poćwiczyć - wyjaśnił, widząc jej zaskoczone spojrzenie.

Zauważyła od razu, że kiedy mijali się z Chu-

ckiem, on przyglądał się jej z wyraźnym zainteresowaniem. To jej pochlebiało. Umiał też być dowcipny.

W sumie - jak na więziennego klawisza - nie był taki zły. Chętnie widywałąby go częściej.

Tymczasem jednak porozumiewał się z nią głównie za pomocą listów. Znajdowała je w kuchni obok przygotowanego dla niej śniadania czy obiadu. Zawsze pisał, żeby czuła się tu jak u siebie w domu.

Miłe z jego strony - pomyślała, ruszając biegiem z powrotem - chociaż człowiek z miasta nigdy nie będzie traktować rancza jak domu.

Zobaczyła go z daleka. Stał w drzwiach z kubkiem kawy w dłoniach. Kowbojski kapelusz ocieniał mu twarz, ale wystarczył rzut oka na jego postawę, żeby domyślić się, że jest wściekły. Wściekły na nią.

Meredith zwolniła.

Jeszcze przed chwilą miała wielką ochotę na spotkanie, jednak teraz rozmowa nie miała sensu. Z ich dwojga tylko ona miała powody do złości. W końcu siedziała w tej. dzikiej okolicy, z dala od cywilizacji, kompletnie wbrew swojej woli.

Nie potrzebowała żadnej cholernej ochrony! Zaraz mu to powie prosto w twarz, postanowiła. Czuła, że po biegu rozsadza ją energia.

.- Raczyłaś w końcu wrócić - warknął, kiedy zatrzymała się przed progiem. Powoli prześlizgnął się wzrokiem po jej gołych nogach, biodrach i biuście,

rysującym się pod obcisłą podkoszulką. - Gdzie ty się podziewałaś?

- Biegałam - odpowiedziała automatycznie, zanim sobie uświadomiła, że nie musi mu niczego wyjaśniać. Nie był ani jej dowódcą, ani jej ojcem. Od dwóch dni ani razu nie zainteresował jej samopoczuciem. - Co w ciebie wstąpiło od rana? Chyba źle spałeś - rzuciła równie nieuprzejmym tonem. - Sam mówisz, że ćwiczenia dobrze mi zrobią. Skorzystałam z twojej rady.

Chuck z trudem ukrywał panikę. Od kiedy zauważył, że pod jego nieobecność Meredith zniknęła, nie mógł opanować strachu.

Poza tym - padał z nóg. Przez ostatnie dwa dni prawie nie spał. Pracował nad kompleksowym projektem ochrony przedsiębiorstwa, należącego do nowego klienta Cyber-biura.

Miał wyrzuty sumienia, że poświęca Meredith zbyt mało czasu.

- Ale nie mówiłem, żebyś wychodziła z domu bez słowa. Powinnaś zostawić wiadomość. Już chciałem organizować ekipę i ruszać na poszukiwania. - Chuck zauważył, że drży mu dłoń, w której trzyma kubek. - Nie rób tego więcej.

Wściekła Meredith minęła go bez słowa. Odwróciła się dopiero na schodach.

- Nie mogę przez cały czas siedzieć w domu - nawet takim dużym - i nic nie robić.

Chuck powoli się uspokajał. W końcu rzeczywiście nic się nie stało.

- Zawsze możemy się posilować - zażartował. -  
Kyle mówił, że jesteś naprawdę dobra.

Udało mu się. Meredith stanęła jak wryta. Nie była już zła. Raczej zakłopotana.

Dobrze jej tak, pomyślał. Ma za swoje - choćby za to, że wyprowadziła go z równowagi. Jej skóra przybrała czerwonoróżowy odcień. Coraz bardziej lubił ten kolor.

- Przepraszam - mruknęła. - To rzeczywiście nie było rozsądne. - A co do zapasów, może to niegłupi pomysł, nie uważasz?

W jej wielkich niebieskich oczach pojawił się figlarny błysk.

Chuck nie mógł w to uwierzyć. Surowa pani pilot coraz bardziej go zaskakiwała. A przecież jego zadanie polegało na zapewnieniu bezpieczeństwa jedyne-  
mu świadkowi oskarżenia, z którym powinien pozostać na oficjalnej stopie.

Tymczasem z coraz większym trudem udawało mu się utrzymać ich stosunki na tym poziomie.

Musiał jednak próbować - był w pracy.

- Słuchaj, mam dzisiaj czas i mógłbym pokazać ci okolicę - jeśli masz ochotę, oczywiście. Może znajdziemy ci jakieś rozrywki dla zabicia nudy? Tylko się przebierz...

Meredith miała na sobie najkrótsze szorty, jakie widział w życiu. Na widok jej długich, opalonych nóg zaparło mu dech. Z trudem oderwał od nich wzrok. Patrząc na coś takiego, facet zapomina, jak się nazywa. A to już byłby koniec.

- Idź, włóż dzinsy i mocne buty na skórzanej podeszwie - wymamrotał przez zęby i ruszył w kierunku schodów. Musiał utrzymać bezpieczny dystans pomiędzy swoim libido a tą wspaniałą skórą.

Meredith zamurowało ze złości. Przeszła jej ochota do żartów.

- Chyba się pan zapomina, panie Gentry. Rozkazy może wydawać mi tylko mój dowódca, a pan nim nie jest. Nie wykonam tego polecenia. - Spokojnym krokiem podeszła do dzbanka z kawą. - Tak się bowiem składa, że nie posiadam dzinsów.

Chuck odwrócił się i jednym skokiem znalazł się przy niej.

Czekała na kolejną przemowę o zasadach bezpieczeństwa, które wymagają bezwarunkowego podporządkowania się rozkazom, ale on położył tylko dłoń na jej ramionach i przytrzymał ją łagodnie.

- Nie chciałem, żeby zabrzmiało to jak rozkaz. Na ranczu taki strój jest najwygodniejszy - wyraźnie próbował się usprawiedliwić. - Poza tym, nawet tu bywa niebezpiecznie. Nie można biegać półnago.

Wytrzymała jego spojrzenie, chociaż widok czeko-

ladowobrazowych oczu sprawił, że ugięły się pod nią kolana. Dość tego, pomyślała. Musi wziąć się w garść. Musi być twarda. I zimna jak lód. W końcu byłaz tego znana, prawda?

Wysunęła się z uścisku. Poczekała, aż jej puls znacznie bić normalnie.

- Ludzie zazwyczaj biegają w szortach. W cywilizowanym świecie nie uważa się tego za nagość. Ale mogę nakładać dres, jeśli - tu popatrzyła na niego z góry - z tego powodu będziesz lepiej się czuł.

Chuck nie zareagował na zaczepkę.

- Ty naprawdę nie masz żadnych dżinsów? - zapytał z osłupiałą miną.

- Nie mam. I nigdy nie miałam. Nie uważam, żeby była to szczególnie wygodna rzecz.

Dżinsy mają być niewygodne? Chuck dosłownie oniemiał. Potrzebował chwili, żeby się pozbierać po tej rewelacji.

-Skoro tak, kochanie, to włóż... proszę... coś cieplejszego. Już wiem, jakie jest nasze pierwsze zadanie na dzisiaj. Myślę, że sprawi ci to frajdę - uśmiechną się pod nosem i pobiegł na górę.

Frajdę?! Godzinę później Meredith miała ochotę kogoś kopnąć.

Podróż półciężarówką po kamienistych wertepach ciągnęła się niemiłosiernie. Czyżby ten facet był zwoleńnikiem terapii wstrząsowej? Co gorsza, tuż za jej



głową wisiała najprawdziwsza strzelba, zahaczona niedbale na małym wieszaku. Wożenie broni w kabine pasażerskiej wydawało się jej barbarzyńskim zwyczajem.

Zrezygnowana, wyglądała przez okno w nadziei, że zobaczy coś ciekawego, ale wokół ciągnęły się tylko płaskie pastwiska.

W takiej sytuacji trudno nie myśleć o przystojnym, barczystym facecie, który siedzi obok. Nawet jeśli - w mniemaniu tego faceta - wyjazd do sklepu w pobliskim miasteczku, po dzinsy oczywiście, ma być dla nich najlepszą formą rozrywki.

Meredith zagryzła zęby. I dobrze, bo w tej samej chwili samochód podskoczył na czymś w rodzaju metalowego rusztu umocowanego w poprzek drogi.

Rozległ się niepokojący zgrzyt, ale Chuck zupełnie nie zwrócił na to uwagi. Nawet nie zwolnił.

- Co to było? - Poruszyła się niespokojnie.

- Niby co? - zdziwił się tak, jakby zapytała go właśnie, dlaczego księżyc jest zielony. - Aaa. To coś w rodzaju mechanicznego pastucha. Żeby krowy nie pętały się po drogach.

- Chcesz powiedzieć, że taka metalowa kratka wystarczy, żeby krowy nie schodziły z trawy?

- Uhm - kiwnął głową. - To i całe kilometry metalowego drutu, którym ogradzamy pastwiska.

Dziwne. Takie wielkie bestie, a boją się kawałka me-

tal... Chyba nie są specjalnie inteligentne. Ojciec zawsze jej to mówił. Ale skoro tak, to nie ma co wierzyć, że zachowają się rozsądnie na widok człowieka.

Meredith przeszedł po plecach lekki dreszcz. Z ulgą spojrzała na asfaltową drogę, do której właśnie dojechali, znaki drogowe po jej obu stronach, biały pas pośrodku. Nareszcie dotarli do cywilizacji.

Chuck spojrzał w lewo a potem w prawo i skręcił w puściutką szosę. Ujechali kawałek, kiedy z boku pojawił się znak ograniczenia szybkości do pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę, a zaraz potem tabliczka z informacją, że tylko dziesięć mil dzieli ich od miasteczka o nazwie Gentry Wells.

- Dlaczego w znakach są dziury? - zapytała zdziwiona.

Chuck parsknął śmiechem....

- To dziury po nabojach.

- Jak to? - Nie zrozumiała. - Paco?

- Po nic. W ten sposób miejscowi młodzi ludzie sprawdzają celność swoich strzałów. Po kilku piwach, oczywiście. Jestem pewien, że w całym powiecie nie ma znaku, który nie byłby podziurawiony.

Meredith wyobraziła sobie podchmielonych nastolatków ze strzelbami, którzy bezkarnie harują po drogach.

- Czy ty też strzelałeś do znaków, kiedy byłeś młodszy?

- Wiesz, kochanie... - znowu mówił z teksańskim

akcentem. - Wydaje mi się, że tak. Trzeba czasem upuścić sobie trochę pary. Nie widzę w tym nic złego, pod warunkiem, że celem są przedmioty nieożywione.

Chuck miał śmiertelnie poważną minę. Meredith nie była pewna, czy żartuje, czy mówi serio. Zerknęła na niego spod oka, ale on nie odrywał oczu od szosy. Ten facet był dla niej zagadką. Co za poglądy!

- Musimy wymyślić jakieś wyjaśnienie twojego pobytu na ranchu - odezwał się po chwili. - W Gentry Wells wszyscy się znają. Jestem pewien, że od kiedy zobaczyli tam ciebie i Kyle'a, o niczym innym nie mówią.

- O! - Wyrwało się jej. Trudno uwierzyć, że istnieją jeszcze takie... takie prowincjonalne miasteczka.

- Chyba mam pomysł - ciągnął. - Pod warunkiem, że znasz się trochę na komputerach.

Kiwnęła tylko głową. Nie będzie się przechwalać, że nie ma na świecie takiej maszyny, na której by się nie znała.

- Skoro tak, będziemy mówić wszystkim, że jesteś moim konsultantem technicznym. Ludzie w miasteczku nie mają pojęcia, na czym polegają systemy bezpieczeństwa, ale wiedzą, że mam w domu kupę sprzętu. Przyjechałaś, żeby zainstalować mi połączenie satelitarne albo coś w tym guście.

- W porządku. Jeśli uważasz, że brzmi to prawdopodobnie...

- Świetnie - uśmiechnął się. - Taką wersję sprzedajemy wszystkim. - Zastanowił się chwilę. - Hm. Za kilka dni do domu wraca moja siostra. Myślę, że jej możemy powiedzieć prawdę.

- Jak chcesz. - Dla Meredith nie miało to żadnego znaczenia. Bardziej zainteresowała ją odgłos wydawany przez silnik furgonetki. Zerknęła na deskę rozdzielczą. Oczywiście. - Czy nie uważasz, że z silnikiem coś się dzieje? - zapytała, pokazując zapaloną pomarańczową kontrolkę.

- Zaraz zgaśnie - machnął bagatelizując ręką. - Nie martw się. Mam na ranczu dwóch mechaników, którzy zajmują się naszymi pojazdami.

Meredith nie była przekonana.

- Spójrz na wskazówkę temperatury. Jest na maksimum.

Chuck znowu potrząsnął głową.

- Przestań się denerwować. To nie twoje zmartwienie, tylko moich ludzi.

Typowy mężczyzna. I jeszcze ten protekcyjny ton. Ale co tam - miał rację. Cóż ją obchodzi stan jego samochodów!

Jednak kiedy silnik zaczął pracować jeszcze głośniej, nie wytrzymała.

- Naprawdę nie chcesz, żebym zajrzała do środka i sprawdziła, co tam się dzieje?

- Wyluzuj. Nic nie wiesz o życiu w Teksasie. Pozwól, że ja się wszystkim zajmę.

Wzruszyła ramionami i zaczęła wyglądać przez okno.

Setki razy słyszała podobne zdanie od swojego ojca, admirała Stanton Powella. Zagryzła zęby. Nie chciała myśleć o tym, jak ojciec od małego wychowywał ją na dobrego żołnierza. Jak nie pozwalał jej okazywać żalu po śmierci mamy. Po tym jak umarł, z trudem wyrzuciła z głowy pamięć o nocnych koszmarach. Nie pozwoli na to, żeby wróciły. A już na pewno nie za przyczyną tego kowboja, który przecież nie był jej ojcem.

Spod maski zaczaj wydobywać się obłoczek pary. Po kilku sekundach biały tuman całkowicie przesłonił widok i zmusił Ghucka do zjechania na pobocze.

- Siedź spokojnie - powiedział i nie patrząc na nią, wysiadł. - Sprawdzę, co się dzieje.

Bardzo ciekawe. Meredith policzyła do dziesięciu i też wysiadła.

Chuck podniósł maskę, gapił się w silnik i z niepewną miną drapał się w głowę. Na jej widok oczy zwęziły mu się w szparki.

- Wydaje mi się, pani kapitan, że z wielkim trudem przychodzi pani słuchanie tego, co mówię. - Chuck zatoczył ręką łuk. - Tu, na otwartej przestrzeni, nic nas nie chroni. Byle snajper dosięgnie nas tu z łatwością.

Meredith wzniosła oczy do nieba i prychnęła z pogardą.

Chuck nie wierzył własnym uszom. Ta kobieta na niego prychnęła!

- No dobrze - przyznał. - Może jestem trochę przewrażliwiony, ale to ja, nie ty, jestem specem od bezpieczeństwa. Wziąłem za ciebie odpowiedzialność. - Odszedł od samochodu i wyciągnął komórkę. - Zadzwoń na ranczo. Zanim ktoś tu po nas przyjedzie, poczekaj w samochodzie, dobrze?

- Najpierw zajrzę do środka, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Wzruszył ramionami.

- Rób, co chcesz.

Meredith nachyliła się nad silnikiem. Chuck zaważał się chwilę i przystanął. Spojrzał na jej zgrabny tyłeczek w grubych, wojskowych spodniach i poczuł silniejsze uderzenia pulsu. Coś podobnego nie przydarzyło mu się od lat!

Co w niego wstąpiło? Przecież ona wcale nie była w jego typie. Lubił kobiecość. Zawsze podobały mu się dziewczyny z Teksasu - nieduże, z długimi włosami, w opiętych bluzeczkach. Słodkie jak cukierek. Z takimi umawiał się na randki.

Taka była Ellen.

Na myśl o niej poczuł ból w piersiach. Ellen. Jedyna kobieta, którą naprawdę kochał, nie żyje.

Nie ochronił jej. Nie zapewnił bezpieczeństwa. A przecież próbował. Dlatego przysiągł sobie nigdy się nie zakochać.

Kiedy człowiek zbyt mocno się zaangażuje, traci zdolność oceny i nie jest w stanie nikogo chronić.

- Czy twoi mechanicy trzymają w samochodzie narzędzia? - Drgnął. Pytanie Meredith przywróciło go do rzeczywistości.

Kiwnął głową.

- Podaj mi klucz, jedenastkę. I duży śrubokręt.

Chuck ruszył w kierunku bagażnika. Miał nadzieję, że rozpozna jedenastkę. A jeśli nie, to i tak się nie przyzna. Na szczęście trafił.

Meredith wzięła od niego narzędzia. Nawet nie uniosła głowy. Po kilku minutach wyprostowała się:

- Czy zechciałbyś teraz zapalić silnik? - poprosiła rzeczowo.

Była chłodna i opanowana. Jak prawdziwy zawodowiec.

Chuck nie ukrywał, że wywarło to na nim piorunujące wrażenie. Bez słowa wskoczył do kabiny. Silnik zaskoczył za pierwszym razem.

Meredith zatrzasnęła maskę i milcząc usiadła obok niego.

Ruszyli. Chuck nie mógł się jednak powstrzymać.

- Co zrobiłaś? - zapytał.

- Nie było wiele do zrobienia. - Teraz ona obojęt-

nie wzruszyła ramionami. - Trzeba było naciągnąć pasek klinowy. Rozkręciłam koło pasowe i wyjęłam podkładki. Potem skręciłam koło i już. - Potarła usta wierzchem dłoni. - To powinno wystarczyć. Przy okazji wlej trochę płynu do chłodnicy. Trzeba uzupełnić to, co wyparowało.

Chuck zauważył rozmazany smar na czubku jej nosa. Rozczuliło go to. Meredith wydała mu się nagle krucha i podatna na zranienie.

Zacisnął ręce na kierownicy i odwrócił od niej wzrok. Nie podobało mu się to, co czuł. Natychmiast zaczął powtarzać jak mantrę słowa, które miały doprowadzić go do pionu. „To jest twoja klientka. Musisz traktować ją jak kumpla. Nie wolno ci widzieć w niej kobiety”.

Ale w głębi ducha wiedział, że takie postanowienie łatwo jest wygłosić, ale trudniej spełnić.

Ranek następnego dnia był piękny: słońce, bezchmurne niebo i lekki, chłodny wietrzyk przelatujący przez korony drzew. Liście starych dębów i orzechowców szeleściły jak falbaniaste spódnice elegantek sprzed stulecia.

Chuck znał dobrze ten dźwięk. Wiedział, że z północy, od strony Gór Skalistych, zbliża się wichura. Prawdopodobnie uderzy jutro. Na razie jednak trzeba korzystać z pogody.



Dzisiaj postanowił oprowadzić Meredith po ranczu i cieszył się jak dziecko, patrząc jak w nowiusienkich dzinsach i wysokich botkach wchodzi za nim do każdej stodoły, ostrożnie omijając błoto i kupki końskiego nawozu.

Z trudem powstrzymywał uśmiech, bo - jak każdy człowiek z miasta - niezbyt przekonująco udawała, że czuje się pewnie.

- Spodoba ci się miejsce, do którego teraz idziemy. - Delikatnie ujął ją za łokieć. - W tej stajni trzymamy konie pod wierzch. Mamy ich prawie sześćdziesiąt. Chyba wszystkie są teraz w boksach.

- Sześćdziesiąt... koni? - wyjąkała.

- Właśnie tyle. Jestem pewien, że przynajmniej z jednym z nich się zaprzyjaźnisz.

Meredith odchrząknęła.

- Jest coś, czego o mnie nie wiesz - zaczęła ostrożnie. - Otóż ja... Ja nie bardzo lubię zwierzęta. I konie też.

Chuck wcale się nie przejął. Był pewien, że każdy człowiek lubi konie. Musi tylko trafić na tego jednego, właściwego, a potem to już pójdzie.

Otworzył jedno skrzydło sporych, wahadłowych drzwi i przepuścił Meredith przodem.

- To najspokojniejsze konie na świecie. Jestem absolutnie pewny, że je polubisz.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Meredith stanęła w progu stajni i z trudem przełykała ślinę. Bała się, że wymiotuje. Ze środka dobiegały dziwne odgłosy - odgłosy, które musiały wydawać konie.

Nie chciała pokazać, jak bardzo się boi. Wyprostowała się, wzięła głęboki oddech i zrobiła krok w głąb ciemnego wnętrza. Wokoło siebie czuła obecność zwierząt.

Po chwili okazało się, że w stajni wcale nie jest ciemno. Długi korytarz oświetlały wielkie lampy, takie, jakie widuje się w halach fabrycznych.

Wszędzie było nieskazitelnie czysto i nie było widać żadnych przerażających zwierząt.

- Chodź! - Chuck znowu ujął ją za ramię. - Chcę ci kogoś przedstawić.

Nie rozglądała się na boki, ale miała wrażenie, że jest obserwowana. Dookoła siebie czuła zapach siana, nawozu i piźma. Z obu stron korytarza ciągnęły się rzędem drewniane przepierzenia, a w nich... W nich stały konie i przyglądały się im bacznie.

Meredith pilnowała, żeby iść środkiem, z dala od nich.

- Na końcu stoi moja ukochana Ospa - powiedział Chuck. - Idealna dla tych, którzy uczą się jeździć.

Meredith poczuła, że jej plecy pokrywają się gęsią skórą. W tej samej chwili Chuck zatrzymał się przed boksem, z którego wychynał wielki, koński łeb i dotknął jego ramienia.

Koń cicho parsknął kilka razy, jakby chciał się przywitać. Meredith była pewna, że zwierzę patrzy na nią podejrzliwie.

Chuck sięgnął do kieszeni i na rozpostartej dłoni podał coś koniowi.

- Dobra dziewczynka - powiedział, klepiąc klacz po karku. Po czym z zachwyconą miną odwrócił się do Meredith. - To jest Ospa. Poznajcie się.

Pod Meredith ugięły się nogi. W ustach miała całym sucho.

- Nie bój się. Nasza stara klacz nie skrzywdzi nawet muchy. Jest taka łagodna, że uczymy na niej dzieci.

Meredith miała dłonie mokre ze strachu. Pot spływał jej po krzyżu. Chuck patrzył na nią wyczekująco, więc musiała zachować się jak dorosły człowiek. Przygryzła policzek, żeby nie szczekać zębami, i wyciągnęła rękę.

- Pokłep ją - usłyszała i Chuck położył jej dłoń na końskim karku. - Ona naprawdę jest kochana.

Wiedziała, że stara się być dobrym gospodarzem i znaleźć coś, co może się jej spodobać. Nie chciała okazać się gburem. Ani tchórzem.

Z wahaniem dotknęła końskiej szyi. Była ciepła i przypominała futrzany płaszcz. Nagle skóra pod jej palcami drgnęła.

- Co się stało? - zawołała i odskoczyła gwałtownie. - Czy zrobiłam jej coś złego?

Chuck patrzył na nią długą chwilę.

- Meredith, konie wyczuwają emocje. Zupełnie jak ludzie. Ospa chciała, żebyś zwróciła na nią uwagę. Chciała coś od ciebie dostać.

Konie mają być takie jak ludzie? Meredith zastanowiła się nad tym przez chwilę. Ona sama nie czuła potrzeby, żeby ktoś obdarzał ją uwagą. Nie chciała niczego dostawać

- Liczyła, że przynajmniej ją poklepiesz. - Chuck mówił do niej łagodnie, tak jak przedtem do konia. - Spróbuj jeszcze raz. Nie ma się czego bać.

Przykrył jej dłoń swoją i powoli zaczął wodzić nią po końskim karku.

Meredith czuła skórą każdy mięsień i miłe ciepło. To było fascynujące. Ale jeszcze dziwniejsza była jej reakcja na dotyk Chucka. Jego ciepło wprawiało ją w pomieszanie. Dziwne prądy przepływały wzdłuż jej ręki aż do piersi. Zorientowała się nagle, że twardnieją jej sutki.

Próbowała skoncentrować swoją uwagę na koniu, ale jej się nie udało. Chuck stał za blisko i zbyt silnie na nią działał.

On też musiał zorientować się, że coś między nimi zaiskrzyło, bo cofnął rękę i zrobił krok w tył.

- To jedna forma kontaktu z koniem-powiedział.  
- Można jeszcze na nim usiąść. Jeśli pozwolisz się nieść, najłatwiej wyczujesz ruchy i nastroje konia. I vice versa. Spróbujesz?

- Ja... Właściwie to... No dobrze. Spróbuję - wyjąkała, spuszczać głowę.

Chuck nie mógł oderwać oczu od ust Meredith, zaciśniętych teraz z determinacją.

Bliskość, do której przed chwilą dopuścił, okazała się niebezpieczna.

Lekkie drżenie jej głosu sprawiło, że zapragnął zrobić coś, czego żadną miarą nie wolno mu było robić - objąć ją i pocieszyć. Jeśli zaraz się stąd nie wycofa, będzie źle.

- Poszukam Jake'a, naszego zarządcy. Niech przyśle tu kogoś z chłopaków, żeby osiodłał Ospę. Nie odchodź. Zaraz wrócę.

Marzył o tym, żeby znów ją usłyszeć. Chyba uzależnił się od dźwięku jej głosu.

Ale Meredith milczała. Zagryzł zęby i wyszedł na poszukiwanie Jake'a.

Dwadzieścia minut później znalazł się jeszcze raz zbyt blisko Meredith. Stali oboje przy furtce prowadzącej na padok, na którym czekała osiodłana Ospa.

Chuck automatycznym ruchem sprawdził popręg, zastanawiając się, co on tu robi. W pobliżu Meredith zapominał własnego imienia. Na szczęście nie wydawało się, żeby ona miała podobne problemy.

- Dlaczego nazwaliście konia Ospa?

Konia? O czym ona mówi? Chuck potrząsnął głową. Musiał wziąć się w garść. Ile razy ma sobie powtarzać, że ta kobieta jest jego klientką?

- A, tak. Ospa. - Patrzył na nią z nieprzytomną miną. - Spójrz na jej maść. Nazywa się tarantowata.

Był pewien, że Meredith przygląda mu się ze zdumieniem. Wziął głęboki oddech.

- Widzisz plamki na jej zadzie? Kiedy moja siostra Abby była mała, bardzo chciała opiekować się jakimś koniem. Rodzice postanowili, że dadzą jej na własność młodą klacz - roczniaka. A ponieważ Abby przeszła właśnie wietrzną ospę, wystarczył jeden rzut oka. Nazwała konia Ospa.

- Ile ma lat?

- Klacz?

- Nie. Twoja siostra. I ile miała lat, kiedy zaczęła jeździć konno?

Chuck milczał chwilę. Przypominał sobie radość Abby, kiedy stała się posiadaczką konia. Cała rodzina

była wtedy równie szczęśliwa. Kiedy to było? Chyba wieki temu.

Dopiero po chwili dotarło do niego, jaki jest cel ich rozmowy; Meredith chce zyskać na czasie. Boi się koni. Informacja o małej dziewczynce, która nauczyła się jeździć konno, ma być pomocą w opanowaniu strachu.

- Abby miała sześć lat, kiedy urodziła się Ospa. Można powiedzieć, że razem rosły i uczyły się jedna od drugiej. Ale - dodał szybko - znam wielu ludzi, którzy zaczęli jeździć jako dorośli. Nieważne, ile ma się lat. Ważne, żeby trafić na właściwego konia. Prawda, moja dziewczynko? - Przytulił się do szyi Ospy, która parsknęła i z zadowoleniem potrząsnęła grzywą.

Meredith cofnęła się o krok.

Chuck zaczął zastanawiać się, czy jego pomysł w ogóle ma sens. Powinien chyba wymyślić dla niej inne zajęcie. Albo zapytać, skąd wziął się jej strach. Tylko że o takich rzeczach można rozmawiać z przyjaciółmi, którymi nie byli. Przynajmniej na razie.

Po namyśle uznał jednak, że nie warto poddawać się za wcześnie. Jeśli Meredith polubi jazdę konną, będzie miała co robić. Jeśli nie - jest na tyle twarda, że powie mu o tym sama.

- Ospa jest za stara, żeby pracować. Lubi chodzić pod siodłem i lubi być pieszczona. A ponieważ wszyscy ją kochamy, dajemy jej to, co chce. Ona bardzo tęskni za Abby. Ja też - dodał bez zastanowienia.

- Dobra! - Meredith przygarbiła się lekko. - Powiedz, co robić najpierw.

- Po pierwsze, przestań zachowywać się tak, jakbyś szła na ścięcie - zachichotał bez złośliwości. Naprawdę podziwiał ją za to, że chce robić rzeczy, które ją przerażają.

Meredith tylko kiwnęła głową i podeszła do konia. Wiedziała, że jeśli pozwoli sobie na chwilę zastanowienia, stchórzy.

Chuck szedł tuż za nią - tak blisko, że na plecach czuła ciepło jego ciała. Może to nie było takie głupie? Może to był sposób, żeby nie myśleć o koniu?

Ale chwilę później okazało się, że sytuacja ją przeraża. Pot cienką strzyką spływał jej po plecach. Bała się.

Oby już było po wszystkim.

Następne dwadzieścia minut wydawało się trwać wieki. Meredith nie mogła zrozumieć, dlaczego człowiek musi utrudniać sobie tak prostą czynność, jaką jest dosiadanie konia.

Chuck zrobił jej najpierw wykład o wszystkich częściach jeździeckiego ekwipunku. Potem mówił, jak należy traktować konie. Miała nadzieję, że Oskie też, powiedziano, jak należy traktować ludzi.

Starła się słuchać uważnie, ale ile razy Chuck stawał zbyt blisko, wszystkie informacje uciekały jej



z głowy. Ulatniały się jak para. Albo znikwały jak cukier rozpuszczony w kubku gorącej kawy. Brała wtedy głęboki oddech i z całych sił zmuszała wszystkie członki do wykonywania tego, o co prosił Chuck.

- Spróbujmy jeszcze raz - zaproponował spokojnie, ale w jego głosie wyczuwało się, że jest zmęczony sytuacją. - Bierzesz wodze do jednej ręki. Luźno. Tak. Lewą nogę wkładasz w strzemię, a prawą odbijasz się, robisz zamach i hop!

Próbowała już trzeci raz i nic z tego nie wychodziło.

Meredith podziwiała Osepę za cierpliwość. Klacz stała nieporuszona i tylko okazjonalnym machnięciem ogona dawała do zrozumienia, że jest świadoma tego, co dzieje się za jej głową. Ciekawe, czy obie były jednakowo sfrustrowane?

Kolejna próba.

Meredith odbiła się od ziemi i nagle znalazła się na końskim grzbiecie. Dobrze, że siedzę twarzą w kierunku jazdy, a nie odwrotnie, pomyślała. Była rozgoryczona, bo do tej pory uczyła się wszystkiego bez żadnych kłopotów. Nie rozumiała, co się z nią dzieje.

- Tak! Świetnie! - zawołał i uśmiechnął się do niej promiennie.

Lał miód na jej skołatane serce. Nie sądziła, że aż tak bardzo zależało jej na pochwałach Chucka.

Teraz stanął przy boku konia z ręką na jego szyi. Ruszyli. Meredith odetchnęła z ulgą - na razie wszystko

było w porządku. Ale kiedy Chuck przytrzymał ręką jego udo, zadowolenie zniknęło jak sen.

Poczuła mrowienie w brzuchu, a w głowie zamęt. Przestała słuchać, co do niej mówi. Zamiast tego wyobrażała sobie jego dłonie na swojej nagiej skórze - silne, szorstkie, ale czułe. Nagle usłyszała dobitny głos:

- Skup się!

Musiała wracać na ziemię. Gwałtownie szarpnęła za wodze i straciła równowagę.

Przeżaszony Chuck patrzył, jak Meredith zsuwa się na jedną stronę siodła. Zdezorientowana klacz rzuciła łbem i uskoczyła w bok.

- Hola, hola, Ospa! - Złapał za uzdę i próbował uspokoić konia, ale było już za późno.

Stopy wypadły jej ze strzemion. Bez ich pomocy nie umiała złapać równowagi i z głośnym kłapięciem upadła na ziemię. Cholera! Właśnie takiej sytuacji chciał za wszelką cenę uniknąć.

- Meredith! - Jednym skokiem znalazł się przy niej. Ukłękł i zaczął obmacywać jej nogi i ramiona, żeby sprawdzić, czy nic sienie stało. - Gdzie cię boli? - dopytywał się. - Niczego sobie nie złamałaś?

Odepchnęła go.

- Nic mi nie jest. Przestań mnie poszturchiwać.

Usiadła, otrzepała ręce i poszukała wzrokiem Ospy, która stała spokojnie i patrzyła nieco zdziwiona na dwoje ludzi u jej kopyt.

- Jeśli ten koń będzie dalej się ze mnie śmiać, to przysięgam, że ... - zaczęła zupełnie serio.

Chuck nie wytrzymał i ryknął śmiechem. Poczuł niewypowiedzianą ulgę, bo jedyny uszczerbek poniosła duma Meredith. Ona była cała. O mało się nie zakrzusił, kiedy rzuciła mu wściekłe spojrzenie, które mogłoby powstrzymać szarżującego byka.

- Nie przejmuj się aż tak bardzo - wykrztusił wstając. Potem podał jej rękę i pomógł się pozbierać.  
- Wstawaj, to cię oczyszczę.

Wywinęła mu się, kiedy tylko zaczął strzepywać z niej ziemię.

- Co robisz? Przestań! Dam sobie radę sama! - krzyknęła.

Niezfażony tym strząsał brud z jej dżinsów. Pocięrał dłonią sztywny materiał i nagle zorientował się, że Meredith stoi nieruchomo, jakby wrosła w ziemię. Rany! Zwariowała. Albo coś ją boli.

- Co się stało? - Chciał zajrzeć jej w twarz, ale mu się nie udało. Stała z opuszczoną głową i widział tylko cienie długich rzęs na jej policzkach. - Meredith? - Wziął ją za ramiona i zmusił, żeby na niego spojrzała. A kiedy uniosła rzęsy, w jej oczach zobaczył pragnienie.

Teraz on znieruchomiał. Zamknął oczy na moment i gorączkowo myślał, co powiedzieć. Sam czuł, że jego dotyk pobudza mu zmysły.

Ona reagowała podobnie. Powietrze między nimi było naładowane erotyzmem. Krew uderzyła mu do skroni. Zerknął na Meredith. Zauważył pulsującą żyłkę na jej szyi i rumieniec na policzkach. Jej lekko rozchylone usta drżały. Wiedział, że czekają, aż ich dotknie.

Zamiast się odwrócić, zamiast znaleźć coś, co odwróci jego uwagę, powoli opuścił wzrok.

Zaparło mu dech na widok jej twardych sutków, które o mało nie przebiły koszuli, kiedy oddychała. Nie mógł dłużej czekać. Musiał jej dotknąć. Musiał się przekonać, jaka będzie, kiedy rozpali jej zmysły.

Powolnym ruchem przesunął palec po jej policzku. Czy Meredith rozjaśnił nagły błysk i Chuck wiedział, że znalazł właściwą drogę. Pochylił się i dotknął ustami jej ust, przesuując równocześnie dłonie wzdłuż jej kręgosłupa. Drgnęła.

Pobudzony do granic przyciągnął ją do siebie i wpił się w nią wargami. Chciał czuć na sobie każdy centymetr tego sprężystego ciała, wdychać jego zapach i rejestrować każde jego drgnienie.

Przez głowę przemknęła mu myśl, że nie powinien tego robić tu, w końskiej zagrodzie, ale było już za późno.

Wędrował ręką po jej brzuchu, a kiedy objął dłonią pierś, nie zdołała stłumić jęku. Dzieliła ich jeszcze

warstwa ubrań. Chuck bał się, że umrze z pożądania, zanim dotrze do jej skóry.

Musiał się przekonać, co się stanie, kiedy dotknie jej sutków. Chciał usłyszeć dźwięk, który wydobędzie się wówczas z jej gardła.

Przez chwilę zdawało mu się, że za plecami słyszy jakiś hałas. Uznał jednak, że się przesłyszał. Nic nie było ważniejsze od pasji, która ogarnęła ich oboje.

- Hej, bratku!

Ktoś pchnął go od tyłu. Było to tak niespodziewane, że omal nie stracił równowagi.

Zamrugął, żeby szybciej wrócić do realnego świata. Jak przez mgłę dotarł do niego kobiecy głos:

- Może mi powiesz, co robisz mojemu konikowi, braciszku? A tak w ogóle, ciekawe, co tu się dzieje?

Abby?

A niech mnie, jeśli to nie ona!

Jego młodsza siostra wróciła do domu.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Meredith próbowała dojść do siebie, kiedy Chuck złapał młodą kobietę, która znalazła się tam nie wiadomo kiedy, i ucałował ją serdecznie. Potem uniósł ją wysoko w powietrze i zakręcił nią młynka.

- Abby! Kochana! Dlaczego nie dałaś znać, że wracasz dzisiaj? - Śmiał się radośnie i ani myślał opuścić ją na ziemię.

Meredith odetchnęła głęboko.

Abby? Co za imiona dają dzieciom z tej rodziny? Zresztą, nieważne. To nie jej sprawa. O wiele ważniejsze jest to, że straciła panowanie nad sobą.

W biały dzień, w obecności konia i wszystkich, którzy mogli znaleźć się w pobliżu, pozwoliła Chuckowi, żeby ją całował i dotykał. Chyba straciła rozum. To wszystko z powodu strachu, jaki wzbudzały w niej konie, uznała.

Najgorsze, że ta dziewczyna była świadkiem jej słabości.

Meredith miała ochotę schować się w myśią dziurę. Już-już wycofywała się z ich pola widzenia, kiedy

Chuck postawił siostrę na ziemi i złapał Meredith za łokieć. Objąwszy ramionami obie dziewczyny, uśmiechnął się szeroko.

- Muszę was poznać. Macie wiele wspólnego - powiedział.

Abby grzecznie kiwała głową, słuchając wyjaśnień Chucka, ale Meredith zauważyła, że od czasu do czasu dziewczyna uważnie się jej przygląda.

Trudno się dziwić. W końcu ta mała złapała ją samą na samą ze swoim bratem. I ze swoim koniem.

Dlatego Meredith marzyła o tym, żeby zapaść się pod ziemię.

- Widzę - zaczęła Abby - że planujesz przejazdżkę na Ospie.

- Twoja biedna klacz usychała z tęsknoty, Abby, moja mała siostrzyczko. - Chuck patrzył na siostrę z czułością. - Postanowiłem więc ją osiodłać i dać jej w końcu jakieś zajęcie.

- Ach, ty! - Abby dała bratu lekkiego kuksańca. - Dobrze wiem, co robi Ospa. Dzwonię co tydzień do Jake'a, który zdaje mi dokładną relację.

Dopiero teraz Meredith przyjrzała się dokładnie Abby.

„Mała siostrzyczka” Chucka była naprawdę nieduża. Miała nie więcej niż metr sześćdziesiąt wzrostu. Chociaż szczupła, sprawiała wrażenie silnej i zdecydowanej. Ubrana w obcisłe dżinsy, flanelową koszulę

i znoszone buty do pół łydki, wyglądałaby jak młody kowboj, gdyby nie jasnobrązowe kręcone włosy, które wystawały jej spod zsuniętego na czubek głowy kapelusza.

Abby sprawiała wrażenie osoby, która wie, czego chce.

Meredith uznała, że gdyby kiedykolwiek w życiu miała przyjaciółkę, byłby nią ktoś w typie siostry Chucka.

Przyjazd dziewczyny był jej bardzo na rękę. Chuck zajmie się siostrą i nie będzie już miał czasu na lekcje jazdy konnej ani oprowadzanie jej po ranczu. Co najważniejsze - będą się rzadziej widywać. Nie chodzi o to, że Meredith nie sprawiły przyjemności jego pocałunki. Wręcz przeciwnie.

Wpadła po uszy i tym bardziej musi uważać, żeby nie związać się uczuciowo z kimś, kto lubi kontrolować zachowanie innych i oczekiwać, że będą robić to, czego on oczekuje. Przez całe życie miała obok siebie takie właśnie osoby. I wystarczy.

Poza tym Chuck związany był z ranczem. A ona za wszelką cenę chciała wrócić do cywilizacji. I do latania. Chuck nie był materiałem na jej partnera.

Meredith, zajęta własnymi myślami, nie słuchała rozmowy rodzeństwa. Oni zresztą, nie przejmując się zupełnie jej obecnością, gadali w najlepsze. Chyba znowu o koniach.



- ..poza tym, potrzebuję Osipy i kilku łagodnych koni pod wierzch. Umówiłam się z pastorem Johnsonem, że będę uczyć jego młodzież - zakończyła właśnie wypowiedź Abby.

Ghuck uniósł brew.

- Jaką młodzież? - zapytał.

- Mówiłam ci tydzień temu, ale ty nigdy mnie nie słuchasz. Chciałabym, żebyś choć raz... - zrzędziła Abby.

- Ależ zawsze cię słucham, panienko. Wiedziałem, że wracasz do domu. I że zamierzasz pracować na ranchu z naszymi ludźmi.

- Nie mów do mnie „panienko”. Wiesz, że tego nie znoszę. - Abby ujęła się pod boki i stanęła naprzeciw brata, któremu nie sięgała nawet do ramienia.

- Oczywiście, że będę robić wszystko to, co nasi ludzie. Inaczej nie będą mnie szanować. Mówiłam ci ze sto razy, że chcę zarządzać ranchem, kiedy Jake pójdzie na emeryturę. Mam rok, żeby wszystkiego się nauczyć. A ty masz rok, żeby się z tym pogodzić.

- To mówiąc, wbiła wskazujący palec w pierś Chuck.

O, tak. Oboje mieli wiele wspólnego, uśmiechnęła się w duchu Meredith.

- Abby. - Chuck złapał ją za palec. - Zawsze liczyłem, że mnie tu zastąpisz. Nie masz dyplomu, ale studiowałaś rolnictwo. Znasz się na tym. Wcale nie musisz pracować fizycznie. Grodzenie pól czy praca

w stajniach to ciężka fizyczna robota. Po co ci to? To nie jest zajęcie dla kobiety.

No, proszę. Na domiar złego Ghuck był męskim szowinistą.

Abby najwyraźniej też tak uważała, bo buzia skurczyła się jej ze złości.

- Zajęcie dla kobiety! Też coś! - prychnęła.

Chuck odczekał chwilę i zmienił temat.

- Nie powiedziałaś, co za młodzież chcesz uczyć jazdy konnej. Zanim się tu pojawiłaś, próbowałem pokazać Meredith, jak wsiąść na konia.

Abby spojrzała na nią szerokimi ze zdziwienia oczami.

- Nigdy jeszcze nie siedziałaś na koniu?

- Nie. Obawiam się, że nie należę nawet do grupy miłośników koni. Zajmuję się lataniem.

- Każdy polubi konie. - Abby machnięciem ręki zbyła uwagę Meredith. - Pod warunkiem, że - tu odwróciła się do brata i spojrzała na niego kpiąco - ma dobrego nauczyciela. O ile wiem, nie potrzebne są do tego damsko-męskie zapasy ani erotyczne uściski.

Meredith oblała się rumieńcem. Nigdy nie odważy się już spojrzeć Abby prosto w twarz. Boże! Żeby mogła uciec stąd jak najprędzej.

- A jeśli chodzi o tych młodych ludzi - ciągnęła Abby, nie zauważając zmieszania Meredith. - Pamiętasz jak kilka lat temu, jeszcze w szkole, organizowa-

łam dla dzieci z obozu wyścigi w beczkach? Pastor organizuje następny obóz. Wiedział, że wracam, i zadzwonił do mnie z pytaniem, czy zechcę poprowadzić jakieś zajęcia.

Odwróciła się do Meredith, żeby jej wszystko wyjaśnić.

- Co roku nasz pastor organizuje obozy dla trudnej młodzieży z dużych miast. Przynajmniej na chwilę wyrzuci ich z ich środowisk i umieszcza w normalnych domach. Chce im udowodnić, że nie wszyscy ludzie są źli. Przy okazji pokazuje, na czym polega praca na ranchu. A ja mam ich uczyć jeździć konno.

Tu Abby wyciągnęła przyjaźnie rękę i dotknęła ramienia Meredith.

- Dołącz do nas, jeśli masz ochotę.

Meredith na gwałt próbowała wymyślić jakąś wymówkę, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Abby przyglądała się jej życzliwie, a jej propozycja wydawała się absolutnie szczerą.

- Przyjdź, proszę. Naprawdę jestem pewna, że polubisz jazdę konną. A poza tym... bardzo mi zależy, żeby był tam jeszcze ktoś dorosły. Wiesz, oni są niewiele młodszy ode mnie.

- Dobrze - zgodziła się z ociąganiem Meredith.

Chyba pierwszy raz w życiu zależało jej, żeby ktoś ją polubił. Polubił tak, jak ona polubiła tę dziewczynę.

Przez cały ten czas Chuck obserwował Meredith. Zauważył, że jest zmieszana i że ma chęć uciec od nich jak najdalej. Chciał jej pomóc, ale gaduła Abby nie dawała mu szansy wtrącić chociaż słowa.

Jeśli chodzi o niego, nie przejmował się za bardzo, że Abby złapała ich na gorącym uczynku. Wmówił sobie nawet, że powinien się z tego cieszyć - może się wycofać, zanim sprawy pójdą za daleko. Wiedział jednak, że nie da się tego tak zostawić.

Muszą porozmawiać. Ale nie teraz.

Teraz nie wiedział jeszcze, czego naprawdę chce od Meredith. Potrzebował czasu na zastanowienie.

Następnego dnia przed południem Meredith spacerowała nerwowo po kuchni. Czekając na Chucka, powtarzała sobie raz po raz mowę, którą miała do niego wygłosić.

Musiała mu wyjaśnić, że wczoraj nie była sobą. Obce otoczenie i strach przed końmi sprawiły, że straciła głowę.

Przecież nie należała do kobiet, które całują się przy lada okazji. Jej doświadczenia z mężczyznami ograniczały się do jednego, nieudanego romansu. A wtedy też nie całowała się szczególnie namiętnie.

Nie wiedziała, co o tym wszystkim myślał Chuck. Przez resztę wczorajszego wieczoru zachowywał lodowatą uprzejmość.

Podjeżdżała więc, że pojawienie się Abby wyba-  
wiło go z kłopotu.

A co z Meredith? Jeszcze wczoraj nie była pewna,  
czy to dobrze, że dziewczyna przerwała ich sam na  
sam. Dzisiaj wiedziała, że nic lepszego stać się nie  
mogło.

Miała zamiar prosić Chucka, żeby ktoś inny strzegł  
jej bezpieczeństwa. Oni dwoje powinni ograniczyć  
kontakty do minimum. Nie wolno przykładać zapalo-  
nej zapalniczki do beczki z benzyną. Meredith wymyśliła  
więc, że razem z Abby zamieszka w budynku dla pra-  
cowników. Chuck może być spokojny, bo jego siostra  
będzie miała ją zawsze na widoku.

Drgnęła, bo z holu dobiegł ją odgłos kroków. Od-  
wróciła się.

Chuck w kapeluszu nasuniętym głęboko na czoło  
stał w progu. Nie widziała jego twarzy, ale mogła  
przysiąc, że na jej widok lekko się zawahał.

Jasne. Wolałby być teraz wszędzie, tylko nie tutaj.  
Ona czuła się podobnie.

- Aaa. Tu jesteś, Frosty - mruknął.

Na widok jej spiętej i znękanej buzi wszystkie  
przygotowane wcześniej słowa uleciały mu z pamię-  
ci. Nie miał pojęcia, co się z nim dzieje.

Wystarczyło jedno spojrzenie w jej oczy i nie mógł  
wyjakać ani słowa. A przecież chciał tylko powie-  
dzieć, że powinni być przyjaciółmi, nikiem więcej.

Nie zamierzał wdawać się w rozmowę o erotycznym podtekście ich wzajemnego zainteresowania.

Stał więc i milczał.

Na szczęście przypomniał sobie o róży, którą trzymał ukrytą za plecami.

- Proszę. - Wręczył jej kwiat. - To dla ciebie.

Oczekiwał różnych reakcji: wyobrażał sobie, że Meredith uśmiechnie się uprzejmie i podziękuje. Albo parsknie śmiechem i powie, że wręczanie róż byłemu pilotowi amerykańskich Sił Powietrznych jest głupim pomysłem.

Tymczasem ona stała nieruchomo i z paniką w oczach wpatrywała się w żółty pączek. Można by przypuszczać, że przyniósł jej w prezencie nie różę, ale grzechotnika.

I nagle z jej oczu zaczęły kapać wielkie łzy.

- Dlaczego płaczesz? - wyjąkał przerażony. Nie miał pojęcia, co robić z płaczącymi kobietami. Abby nie płakała nigdy. Ellen też nie. A jego matka? No, może raz, a i to ze szczęścia. - To tylko żółta róża. Symbol przyjaźni. Myślałem, że cię rozbawię. Wy-rzucę ją, skoro jest ci tak przykro.

- Nie! - pociągnęła nosem i sięgnęła po różę. - To dlatego, że... że jeszcze nigdy nie dostałam od nikogo kwiatów. - Odchrząknęła, żeby ukryć wzruszenie. - I nie wiem, co powiedzieć.

- Na początek wystarczy zwykłe „dziękuję”. Ale uśmiech byłby dziesięć razy lepszy.

I rzeczywiście zauważył cień uśmiechu na jej drżących ustach.

- Dziękuję, Chuck. Ale nie wiem, czy zasłużyłam na prezent. I na obietnicę przyjaźni.

Zasłużyłaś na mnóstwo prezentów, pomyślał. Ale nie mógł powiedzieć tego na głos.

Przyjaźń. Tego należy się trzymać.

- Przykro mi z powodu tego, co wydarzyło się wczoraj - zaczął swoją przemowę. - Straciłem głowę i postawiłem cię w kłopotliwej sytuacji. Wyglądałaś tak... - przerwał na chwilę, przełknął ślinę i ciągnął dalej. - Nieważne. Pozwól, żebyśmy zaczęli od nowa. Wiem, że znalazłaś się w trudnej sytuacji, i naprawdę zależy mi, żebyś dobrze się tu czuła. Jeśli się zaprzyjaźnimy, przedzej minie ci czas, który musisz spędzić na ranchu.

Meredith była załamana i zagubiona. Takie stany nie powinny ogarniać żołnierzy. Jej ojciec nie byłby z niej zadowolony.

Właśnie miała powiedzieć Chuckowi, że nie powinni się widywać i że chce się stąd wyprowadzić.

I co teraz robić?

Oferta przyjaźni była nęcąca. Zawsze przyjaźniła się z mężczyznami. Ale co innego koledzy z wojska, co innego przystojny kowboj, którego pocałunki wprawiają w drżenie całe ciało i który przynosi jej kwiaty.

Wprawdzie wewnętrzny głos ostrzegał Meredith, że jego pociąg do niej ma niewiele wspólnego z przyjaźnią, ale postanowiła zignorować ostrzeżenie.

- W porządku - powiedziała. - Przyjaźń. Nie można odmówić pierwszemu mężczyźnie, który daje ci różę, prawda?

- Wspaniale! - Uśmiechnął się szeroko. - Na pewno nam się uda. A teraz odłóż ten nieszczęsny kwiat, bo spóźnisz się na lekcję u Abby.

Meredith poczuła lekki skurcz żołądka.

Co za dzień! Najpierw ta róża. Potem zgodziła się na przyjaźń z facetem, który pociąga ją fizycznie. A teraz musi uczyć się jeździć konno z grupą nastolatków, którzy mają problemy.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Powiedz mi - zapytała Meredith, kiedy szli w stronę pustej stodoły, która miała służyć Abby za krytą ujeżdżalnię- skąd wiesz, że żółta róża jest symbolem przyjaźni? Nigdy nie słyszałam o czymś takim. Zawsze myślałam, że róża to... po prostu róża.

Chuck zastanowił się minutę.

Skąd wiedział takie rzeczy? Po prostu wiedział to od zawsze. Jak wszyscy. Ale może jednak nie wszyscy, bo Meredith wyraźnie czekała na odpowiedź.

Pomyślał moment i przed oczami stanęła mu drobna kobieca postać pachnąca lawendą. Nawet nie wiedział, jak bardzo tęskni za łagodnym dotknięciem jej rąk.

- Babunia! - zawołał i dodał wyjaśniająco. - Moja babcia była prawdziwym ekspertem od róż. W swoim ogrodzie spędzała każdą wolną chwilę. Kiedy się zestarzała, zapędzała do pomocy mnie i mojego brata Cala i cały czas stała nad nami. Żeby „nadzorować i służyć radą”, jak to sama określała.

- Wygląda na to, że w rodzinie Gentrych były same nietuzinkowe kobiety.

- Jakbyś zgadła. Życie na ranczu, i to jeszcze tak oddalonym od świata jak nasze, nie jest łatwe. Słodkie lale tego nie wytrzymają. Babcia mawiała, że sprawdzają się tu tylko ludzie o mocnych korzeniach.

Zamilkł i pograżył się w rozmyślaniach. Meredith zauważyła, że posmutniał.

Szła obok i zastanawiała się, jak przerwać jego ponure milczenie. W końcu uznała, że podtrzyma rozmowę, jeśli zacznie zadawać mu pytania.

- Mówiłeś kiedyś, że tylko jedna kobieta była inna. Kto to był? )

Chuck zbladł lekko. Kopnął butem grudkę ziemi.

- Byłem kiedyś zakochany. Nawet się jej oświadczyłem. Pochodziła z miasta, tak jak ty. Była wspaniała. Piękna i inteligentna. Może dobrze, że nic z tego nie wyszło, bo znienawidziłaby mnie za życie na tym odludziu.

- Co się wydarzyło między wami? - Meredith zadała pytanie, zanim zdała sobie sprawę, jak bardzo jest niewłaściwe.

- Umarła.

W jego głosie był taki żal, że nie śmiała pytać o więcej.

Chuck wystawił twarz na wiatr.

- Widzisz te ciemne chmury nad horyzontem? -

zmienił temat. - Nadciąga wiatr z północy. Nikt go tu nie lubi. Zamiast deszczu, którego potrzebujemy, przynosi mróz, który warzy liście na drzewach.

Meredith gorączkowo myślała nad czymś równie niezobowiązującym. Z wielką ulgą przypomniała sobie o róży.

- Opowiedz, co jeszcze twoja babcia mówiła o różach. Czy wszystkie kolory coś znaczą?

- To miło, że pytasz. A już się bałam, że rozmowy o kwiatach cię nudzą. - Zerknął na nią spod oka.

Na widok jego uśmiechu zrobiło się jej gorąco. Co jest w tym facecie? Dlaczego reaguje na niego jak napalona nastolatka? Czy on nie wie, że nic, co powie, nie może być nudne?

- Przekonajmy się, co zapamiętałam... Kolor biały oznacza czystość oraz szacunek, różowy - wdzięczność, podziw albo współczucie. Bukiet z białych i różowych kwiatów jest bardzo odpowiedni na pogrzeb. - Chuck zmarszczył czoło. - Przepraszam. To cię chyba nie interesuje. Co jeszcze? Aha. Róże ciemnoróżowe i czerwone są znakiem miłości, a szkarłatne wręczają sobie kochankowie.

- To wszystko? - Meredith starała się iść jak najwolniej. Drzwi ujeżdżalni były tuż-tuż.

- Prawie. Babcia mówiła jeszcze, że róże w paczkach symbolizują nierozbudzone uczucia. To chyba wszystko. - Stanęli przed stodołą. Chuck

wszedł do środka i dopiero po chwili zorientował się, że Meredith została na zewnątrz. Musiał po nią wrócić.

- Nie wiem, dlaczego tak bardzo boisz się koni, ale jeśli chcesz, mogę zostać, żeby pomóc ci się z nimi oswoić. - Wyciągnął do niej rękę.

- Nie boję się. - Meredith wpatrywała się w czubki swoich butów. Potem z wahaniem podała mu dłoń. - Tak. Trochę się obawiam - powiedziała cicho.

Chuck ruszył, ale ona ani drgnęła. Odwrócił się zdziwiony. Widząc to Meredith przełknęła ślinę i zaczęła mówić.

- Boję się zwierząt. Wszystko zaczęło się po śmierci mojej mamy. Miałam wtedy cztery lata. Po tym jak mnie porzuciła, wszystko się zmieniło.

- Jak to: porzuciła?

Meredith wzruszyła ramionami.

- Tak to odczułam. Byłam małym dzieckiem. Podejrzewam, że ojciec myślał podobnie... Chyba uważał, że mama umierając w jakiś sposób go zdradziła. Wiesz, mama miała psa - małego, białego kudłacza. Nazywał się Herkules. Nie był rasowy, ale nigdy w życiu nie spotkałam takiego mądrego zwierza. Kiedy umarła, skomlał bez przerwy. Próbowałam go pocieszyć, ale on się nie dawał. Cierpiał jak człowiek.

Zamyśliła się i palcem wytarła łzę z kącika oka.

- Kiedy wróciliśmy z pogrzebu, Herkulesa nie było. Uciekł. Zaczęłam strasznie płakać. Nie miałam już ani mamy, ani psa. Ojciec wpadł w straszną złość. Bez końca mi wypominał, że bardziej rozpaczam z powodu utraty psa niż śmierci matki. Nie miałam nikogo, kto pomógłby mi go poszukać.

- Czy twój ojciec nie rozumiał... - wzburzony Chuck pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Poczekaj. Zaraz skończę. - Meredith skuliła się pod naporem złych wspomnień. - Kiedyś bawiłam się na podwórku i do płotu poszedł pies. Otworzyłam bramę, żeby się z nim pobawić, ale kiedy się schyliłam, on ugryzł mnie w policzek. Nieumyślnie - tak widzę to teraz... Potem dostałam serię bolesnych zastrzyków przeciwko wściekłości i...

Głos jej się załamał. Milczała długo i Chuck był pewien, że nie powie już ani słowa.

- Meredith?

Uśmiechnęła się blado.

- Jeszcze nigdy nikomu o tym nie opowiadałam. Muszę w końcu to z siebie wyrzucić. Wtedy ojciec postanowił dać mi nauczkę. Przyprowadził wielkiego psa - rzekomo po to, żeby zapewnić mi bezpieczeństwo, a mnie zamknął w ciemnej garderobie i sobie poszedł. Ile razy próbowałam wyjść, pies warczał i szczekał. Przesiedziałam tam cały dzień, przerażona i zapłakana. Marzyłam o tym, żeby mieć skrzydła

i odlecieć stamtąd jak najdalej. - Wielkie łyzy kapały teraz z jej oczu.

Chuck jednym skokiem znalazł się przy niej. Zanim zdążył pomyśleć, tulił ją w ramionach.

- Było, minęło. Nie bój się niczego, kiedy jestem obok - powiedział bardziej do tamtej czterolatki niż do niej. Potem odsunął się, żeby spojrzeć Meredith w twarz. - Nie musisz podchodzić do żadnych zwierząt, naprawdę. Daj sobie spokój z końmi. Wyjaśnię wszystko Abby. Wymyślimy ci jakąś inną rozrywkę.

Zesztywniała i wyrwała się z jego objęć.

- Posłuchaj, Gentry - warknęła. - Od czasów średniej szkoły nie zdarzyło mi się uciekać ze strachu. I nie liczę, że zrobię to teraz. Opowiedziałam ci całą historię nie po to, żeby się wymigać, ale po to, żebyś mnie zrozumiał.

W oczach Meredith widział gniewne błyski. W jednej chwili zmieniła się z małej dziewczynki w mężną kobietę. Nawet nie przypuszczała, jaka była teraz pociągająca.

Chuck patrzył na nią z zachwytem.

To, co czuł, nie miało nic wspólnego z przyjaźnią, którą tak niedawno sobie ślubował.

- Jak chcesz - powiedział. - Zostawiam cię z Abby. Idę do swoich zadań.

Meredith jakoś przeżyła pierwszą lekcję, chociaż zapach koni, nawozu i ludzkiego potu był trudny do zniesienia.

Kiedy wydawało się, że nie wytrzyma, przypomniała sobie dźwięk głosu Chucka i łagodny dotyk jego dłoni. Albo odwrotnie - wściekała się w duchu, że nawet kiedy jej współczuł po usłyszeniu całej historii, śmiał narzucać jedynie słuszne rozwiązania.

Taką huśtawkę uczuć miała przez kilka następnych dni. I nocy.

Nie widywała Chucka, który gdzieś się zasztył. Lupe, mel czasie wrócić na rancho, powiedziała Meredith, że Chuck jest bardzo zajęty i prosi, żeby mu nie przeszkadzać.

Minęło pięć dni. Meredith pomagała Lupe w kuchni i w szklarni, razem z Abby objeżdżała ciężarówką najbardziej oddalone części ranca, ćwiczyła w domowej siłowni i... czekała, aż Chuck się pojawi.

Zajęcia z końmi nie sprawiały jej wielkiej przyjemności, ale dały się znieść.

Dużo ciekawsza wydawała się obserwacja grupy czterech dziewczyn i dwóch chłopaków przysłanych przez pastora. Meredith była pod wrażeniem.

Cierpliwość, z jaką Abby reagowała na głupie zachowania czy wybuchy złego humoru swoich podopiecznych oraz jej wrodzony talent pedagogiczny

sprawiły, <del>że</del> w grupie widać było pierwsze oznaki integracji.

Ona sama, występująca jako Meredith Jones, specjalistka od sprzętu komputerowego, została zaakceptowana bez większych trudności.

- Hej, Meredith! Nie poszłabyś dziś ze mną na tańce? - zawołał ktoś nagle.

Propozycja wyszła z ust Bryana, śmielszego z chłopaków.

- Przepraszam panią. Bryan to pajac, ale... - odezwała się jedna z dziewcząt - my wszyscy mamy do pani prośbę. W Roadhouse Cafe jest dzisiaj konkurs taneczny. Cały dochód idzie na cele dobroczynne. Wybiera się tam cała młodzież z miasteczka no i... właściwie obiecaliśmy, że też przyjdziemy. Tylko że ktoś dorosły musi być z nami.

Cała historia brzmiała wiarygodnie. Meredith odwróciła się do reszty:

- A co myślą o tym rodziny, u których mieszkać? Dlaczego sami nie zawiozą was do motelu?

- Nie mają czasu. Kilkoro z nich uparło się, że nie puszcza nas bez obstawy jakiegoś odpowiedzialnego dorosłego. A konkurs to znana sprawa - włączyła się druga dziewczyna. - Organizują go co roku.

Meredith nie bardzo umiała tańczyć, ale marzyła o tym, żeby wyrwać się z rancza - wszystko jedno dokąd.



- Chętnie bym wam pomogła - powiedziała. - Rzecz w tym, że nie mam samochodu. Przykro mi.

- Dlaczego ci przykro? - zapytała Abby, która w tej chwili wyszła ze stajni, do której odprowadzała konie.

- Twoja banda chce jechać do pubu na tańce. Potrzebują przyzwoitki. - Nagle cała sprawa wydała się Meredith banalnie prosta. - Abby, a może ty byś ich tam zawiozła?

Wszyscy zaczęli się przekrzykiwać, żeby wyjaśnić niezorientowanej Abby, w czym rzecz.

- Poczekajcie chwilę - powiedziała w końcu. - Muszę porozmawiać z Meredith na osobności, dobrze? Słuchaj - zaczęła lekko zażenowana, kiedy młodzi ludzie odeszli. - Ja... ja mam już na dzisiaj inne plany, ale mogę pożyczyć ci jedną z naszych furgonetek. Załadujesz do niej całe towarzystwo - jeżeli oczywiście chcesz być ich kierowcą i niańką jednocześnie.

Meredith podejrzewała, że Abby wybiera się na randkę, o której nie chce mówić, więc nie pytała o nic.

- Nie ma sprawy, ale czy to nie jest niebezpieczne? I co powie Chuck? - zastanawiała się na głos.

- Nie będziemy go pytać - zaśmiała się Abby. - Chuck musi myśleć, że jesteś tu raczej bezpieczna, bo inaczej miałabyś ochroniarza przez dwadzieścia czte-

ry godziny na dobę. Na szczęście żyjemy prawie na końcu świata. Pamiętaj tylko, co masz mówić. Dla wszystkich jesteś komputerowcem.

Chuck wjechał na drogę prowadzącą do miasteczka i gwałtownie dodał gazu.

Był wściekły. Walnął dłonią w kierownicę i zaklął pod nosem. Czy ta kobieta nie ma rozumu? Jak mogła zrobić coś tak idiotycznego?

A jeśli chodzi o Abby... Trudno. Jego siostra była naiwna i głupia.

I pomyśleć, że kilka ostatnich dni spędził przed komputerem, poszukując śladów człowieka, który zagrażał Meredith. Niestety, jak dotąd wszystkie jego kontakty nie dały żadnych rezultatów. Można by pomyśleć, że Richard Rourke zniknął z powierzchni ziemi.

A kiedy on ciężko pracował, ona wybrała się do pubu na tańce. I to z gromadą nastolatków o podejrzanej przeszłości.

Co gorsza, zrobiła to dokładnie w dniu, kiedy on postanowił zaprosić ją na kolację! I kiedy zszedł na dół, żeby to zrobić, dowiedział się od Lupe, że Meredith wyjechała z rancza, nie mówiąc mu o tym ani słowa.

Odetchnął głęboko.

Próbował przekonać samego siebie, że jego obawy

są irracjonalne, bo nikt w całej okolicy nie wie, kim jest Meredith. Bez rezultatu. Z piskiem hamulców zatrzymał się na parkingu przed Roadhouse Cafe.

Nasunął kapelusz głęboko na czoło i ruszył do wejścia.

Poczekaj, panienko. Opuściłaś ranczo beze mnie. Będziesz miała się z pyszna!

scandalous

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zdrowy rozsądek podpowiadał Chuckowi, że powinien poczekać, aż minie mu furia. Człowiek myślący - a za takiego się miał - powinien panować nad emocjami. Wystarczyłoby na przykład zrobić kilka rundek dookoła parkingu. Albo przejść się parę mil tam i z powrotem.

Jednak nie mógł się powstrzymać. Wyobrażenia podsuwała mu obrazy podejrzanych typów śledzących każdy krok Meredith.

Z hukiem otworzył drzwi i wpadł do środka.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, była jasna głowa górująca ponad tłumem podskakującym w rytm muzyki country.

Odetchnął z ulgą. Meredith!

Tańczyła z jakimś smarkaczem, z włosami postawionymi na żel i ze śladami po pryszczach na policzkach. Z daleka widać było, że to ktoś z miasta. Mogła przynajmniej wybrać partnera, który mniej rzucałby się w oczy!

- Musimy porozmawiać. Na zewnątrz - podkreślił i bezceremonialnie pociągnął ją za sobą.

Młody partner Meredith zaklął pod nosem, a ona, początkowo zaskoczona, zmarszczyła gniewnie brwi.

- Czekaj, Chuck - powiedziała, ale on tylko zaciął wargi i trzymając ją za łokieć, przepychał się między tańczącymi parami w stronę wyjścia. - Chuck! Dość!

- Podniosła głos tak, że usłyszeli ją wszyscy. Potem wbiła stopy w podłogę i jednym zręcznym ruchem nie tylko uwolniła rękę z jego uchwytu, ale zmusiła go, żeby odwrócił się twarzą do niej. - Uspokój się i posłuchaj.

- Nie tutaj - syknął.

Wtedy Meredith, patrząc na coś ponad jego ramieniem, krzyknęła:

- Bryan, nie!

Chuck odwrócił się momentalnie.

Pryszcłaty nastolatek, z którym wcześniej tańczyła Meredith, ruszył na niego z pięściami.

- Odsuń się, chłopcze. To są sprawy dorosłych - powiedział spokojnie.

Tamten nie ustępował. Zaatakował z byka, ale Chuck przytrzymał go na odległość wyciągniętej ręki.

- Nie ośmieszaj się i odejdz stąd - warknął.

Pojawili się jacyś młodzi ludzie i odciągnęli przeklinającego Bryana.

Kiedy zniknęli w tłumie, Chuck znowu złapał Meredith za łokieć.

- Wyjdiesz, żeby ze mną porozmawiać, czy mam cię wynieść?

Pozwoliła mu się wyprowadzić, ale tuż za drzwiami zwinęła dłoń w pięść, wzięła oddech i wymierzyła mu cios prosto w szczękę.

- Auu! - wykrzyknęli oboje. Chuck masował twarz, ona - rękę.

- Za co? - zapytał.

- Za to, że zachowałeś się jak idiota. Jakbyś nie mógł poczekać, aż skończę tańczyć z Bryanem. Albo przynajmniej poprosić, żebym wyszła z tobą. Podobno nie chcesz, żebym rzucała się w oczy. Możesz być pewien, że po tym przedstawieniu zauważyli mnie wszyscy - warknęła.

Z ogromnym zdziwieniem zauważyła, że Chuck poczuwa się do winy. Trzymając się za szczękę, patrzył na nią niepewnym wzrokiem.

Zrobiło się jej wstyd, bo wyraźnie go bolało. W jednej chwili uszła z niej cała złość.

- Cholernie dobry lewy sierpowy. Wiesz o tym? - wymamrotał.

- Przepraszam - westchnęła. - Przed wszystkim chodziło mi o Bryana. Biedny dzieciak. To było dla niego wielkie upokorzenie. Poniekąd jestem za to odpowiedzialna.

- Twój „biedny dzieciak” zachowywał się jak idiota. Kompletnie stracił kontrolę nad sobą.

- Tak jak ja i ty. Nie powinnam cię uderzyć - uśmiechnęła się blado. - Boli cię? Czy mogę jakoś ci pomóc?

- Możesz podejść i sprawdzić, czy nie krwawię.  
- Tu Chuck puścił do niej oko i zrobił zboląłą minę.

Meredith jeszcze nigdy w życiu nie flirtowała, ale widziała, jak robią to inne kobiety. Powoli odsunęła dłoń, którą masował szczękę.

- Nie jesteś aż tak bardzo ranny, ale muszę sprawdzić z bliska, jak to wygląda.

Nawet w półmroku panującym na parkingu zauważyła bez trudu, że czerwony ślad na jego policzku robi się z chwili na chwilę coraz większy i bardziej ognisty.

- O, nie! Uderzyłam cię mocniej, niż chciałam. - I nie zastanawiając się, co robi, wspięła się na palce i przejechała ustami po jego szczękę.

Ale bliski kontakt z jego ciałem wywołał reakcję, której się nie spodziewała. Fala gorąca oblała ją całą. Serce biło jej jak oszalałe, kolana miała miękkie i omal nie straciła równowagi.

Dlatego musiała pozwolić, żeby Chuck ją objął. Potem usłyszała stłumiony jęk i w jego oczach zobaczyła błysk namiętności. Rozsądek podpowiadał ucieczkę, ale było już za późno.

Chuck dotknął ustami jej ust i przejechał po nich językiem. Delikatnie pieścił zębami dolną wargę.

Meredith zadrżała. Wzbierała w niej namiętność, jakiej nie czuła jeszcze nigdy w życiu. Kiedy przyciągnął ją do siebie, miała wrażenie, że spada w przepaść. Albo unosi się w górę - sama już nie wiedziała. Musiała odzyskać kontrolę nad swoim ciałem.

Resztką sił oderwała się od Chucka.

- Ja... ja... - zaczęła chrapliwym głosem. W gardle miała kompletnie sucho. Przełknęła ślinę i spróbowała jeszcze raz. - Nie całuję się tak z mężczyznami w miejscach publicznych.

Chuck parsknął śmiechem.

- A jak całujesz się z mężczyznami w miejscach publicznych?

- Wcale - wymamrotała.

- A co robisz na randkach? - zapytał żartobliwym tonem.

- Nie chodzę na randki - powiedziała spokojnie. - Nie miałam chłopaków. Poza jednym, z którym byłam zaręczona. Chyba jesteś drugim facetem, z którym... całuję się w taki sposób.

Chuck był wyraźnie zaskoczony.

- Dziewczyna z taką urodą, która nie umawia się na randki? Dlaczego?

Meredith wzruszyła ramionami.

- Brak czasu. Brak chęci. - I nagle poczuła, że



chce mu wszystko wyjaśnić. Westchnęła. - Pamiętasz, co mówiłam ci o swoim ojcu? Po śmierci mamy uznał, że musi sprawować kontrolę nad całym moim życiem. Nawet nad moimi myślami. Nad tym, jak się ubieram i co jem. Wybierał mi szkołę. Znajomych. Z wojskową dokładnością zaplanował moją przyszłość. I egzekwował te plany.

Chuck zagryzł zęby, żeby nie wybuchnąć.

- To on nie pozwalał ci umawiać się z chłopakami, prawda?

- Jasne - zaśmiała się w odpowiedzi, ale oczy wciąż miała smutne. - Nie mogłam robić tego, co robiły moje rówieśniczki.

- No to co robiłaś po szkole? Albo podczas wakacji?

- Uczyłam się. Albo dla odmiany chodziłam na zajęcia z samoobrony i strzelania do celu, kursy żeglarskie i spadochronowe. Ojciec pilnował, żebym była zawsze zajęta.

- No dobrze. A podczas studiów?

- Wymyślił dla mnie Akademię Lotniczą. Szkoła Marynarki Wojennej nie wchodziła w grę, żeby nikt nie posądził go o kumoterstwo.

- Dlaczego się nie zbuntowałaś? - Chuck od dłuższej chwili miał ochotę zadać jej to pytanie.

Ona sama zadawała je sobie tysiące razy, ale teraz nie była pewna, czy umie na nie odpowiedzieć.

- Sama nie wiem. Kiedy byłam małą, wciąż słyszałam, że robiąc to, co on chce, pokazuję, że go kocham. Że jestem warta czasu i wysiłku, które, mi poświęca. Chyba się bałam - głos jej zadrżał - że jeśli go zawiodę, opuści mnie tak jak mama. Że sobie pójdzie i nigdy nie wróci.

- Kochanie... - Chuck chciał ją objąć, ale się uchyliła i zaczęła opowiadać coraz szybciej i szybciej.

- Dopiero w Akademii spróbowałam się usamodzielnąć. Nawiązałam własne znajomości. Raz czy dwa umówiłam się na randkę. Ale zawsze bałam się, że mogę zawieść ojca. Nie zdawałam sobie sprawy, że - pokręciła głową nad swoją głupotą - nawet z daleka kontroluje każdy mój krok. Potem się zakochałam. Albo tak mi się wydawało. W pierwszym facecie, który zwrócił na mnie uwagę. Po kilku tygodniach zaręczyliśmy się i zaczęliśmy planować przyszłość. Tylko że nie było w tym pasji. Nawet kiedy się kochaliśmy. Teraz rozumiem, że sporo w tym było mojej winy. Zbyt wiele od niego wymagałam. Chciałam, żeby wszystko było tak jak w powieściach. Albo... jak w prawdziwym życiu. Na przykład jak teraz, z tobą.

Chuck nie wiedział, co robić z rękami. Przesuwał kapelusz do tyłu i do przodu, i uciekał przed nią wzrokiem.

Meredith, wpatrzona w samochody na parkingu, milczała chwilę.

- I nagle, całkiem niespodziewanie, mój narzeczony wystąpił z Akademii. Rzucił latanie, oznajmił, że z nami koniec, i tyle go widziałam. - Wystarczyło spojrzeć w jej oczy, żeby się przekonać, że to wspomnienie wciąż sprawia ból. - Dopiero później dowiedziałam się prawdy. Mój ojciec zagroził, że zrujnuje mu karierę, jeśli mnie nie rzuci. Zaproponował mi - przejście do Szkoły Marynarki Wojennej i ułatwił wszelkie formalności. Od tego czasu szkoda mi było czasu i energii na związki z mężczyznami. Zająłam się własną karierą.

- A potem? Byłaś prywatnym pilotem generała VanDerringa. Wiedziałaś o intrydze ojca. Dlaczego się nie zbuntowałaś? Dlaczego nie znalazłaś sobie przyjaciół? Meredith! On zrujnował ci życie! - Chuck miał ochotę zamknąć ją w objęciach i pogłaskać po głowie jak małą dziewczynkę.

- Nawet o tym myślałam - uśmiechnęła się smutno. - Wiele razy. Ale kilka lat temu ojciec miał wylew. Przeszedł na emeryturę i błagał mnie, żebym z nim zamieszkała. Zrobiłam to. Przecież był moim ojcem. W ten sposób do samej śmierci pilnował każdego mojego kroku. - Przełknęła ślinę. - Wstyd powiedzieć, ale w pewnym sensie jestem zadowolona, że umarł.

Chuck pomyślał o swoich rodzicach. Jakże byli inni.

Nie mógł sobie wyobrazić sytuacji, w której on poczułby ulgę na myśl, że nie żyją. Meredith nie miała szansy zaznać prawdziwej troski ani miłości.

Przyciągnął ją do siebie. O dziwo, nie protestowała. Wtulając obolały policzek w jej gładkie włosy, myślał, jak bardzo warta jest i troski, i miłości. Zbyt wiele przeszła w życiu.

Teraz on musi zrobić co w jego mocy, żeby uwierzyła, że otacza ją przyjazny świat i że jemu zależy na jej spokoju i szczęściu.

Nie wiedział, jak długo tak stali. Ocknęli się dopiero na dźwięk klaksonu gdzieś w głębi parkingu.

- Która godzina? - zapytała Meredith niespokojnie.
- Słucham? - odpowiedział nieprzytomnie.
- Godzina? Obiecałam Abby\* że do dziesiątej dostarczę wszystkich do domu.

Chuck nie nosił zegarka.

- Przypuszczam, że dochodzi dziesiąta - odpowiedział, zerknąwszy na gwiazdy.

- Muszę zebrać ich wszystkich - Meredith ruszyła do wejścia. - I ułagodzić Bryana. Jego duma bardzo ucierpiała.

- Zaraz mu przejdzie. Ale o sobie nie mogę tego powiedzieć. - Chuck rozcierał szczękę z nieszczęśliwą miną. - Ale i tak pomogę ci ich rozwiązać.

Meredith roześmiała się serdecznie. Tego chciał najbardziej. Jej dobre samopoczucie stało się dla niego sprawą najwyższej wagi.

Wtedy jednak okazało się, że Bryan zniknął.

Meredith nie mogła znaleźć sobie miejsca.

- To moja wina - obwiniła się. - Bryan nie jest zły, tylko narwany. Jeśli coś zrobi, nigdy sobie nie wybaczę.

Chuźk z trudem namówił ją do powrotu na ranczo. Sam obudził swoich ludzi i razem udali się na poszukiwania. Po trzech godzinach wrócili z niczym.

Meredith odchodziła od zmysłów z niepokoju.

Bryan odnalazł się dopiero o drugiej w nocy. Jego opiekunowie zatelefonowali na ranczo z informacją, że wrócił do domu. Zasiedział się u syna ich sąsiadów, który był świadkiem awantury w pubie i zabrał go do siebie.

Meredith nie miała nawet siły cieszyć się z takiego obrotu spraw. Resztką sił zawlokła się na górę, zrzuciła buty i ubranie, i tak jak stała, padła na łóżko.

Zasnęła natychmiast, ale we śnie dręczyły ją koszmary, w których zza drzwi dobiegało szczekanie psów z dzieciństwa. Obudziła się nad ranem, złana potem i zmęczona do bólu. Wstała, żeby otworzyć okno i wpuścić do pokoju chłodne, nocne powietrze.

Ogród w świetle księżycy wyglądał całkiem inaczej niż za dnia. Wychylona na zewnątrz oddychała

głęboko i uspokajała się powoli. Nagle w cieniu dostrzegła błysk.

Coś... a może ktoś tam stał.

Cofnęła się za framugę i wbiła wzrok w ciemność.

Pod drzewem zauważyła zarys ludzkiej sylwetki, chyba z papierosem w ręku. To nie mógł być Chuck. Chuck był dużo wyższy i szerszy w barach.

Zamknęła oczy. Pod powiekami miała obraz zabójcy generała VanDerringa. Rourke był szczupły i nie-duży. Taki jak ten ktoś pod dębem.

Strach zmroził jej krew w żyłach. Cofnęła się w panice i trafiła plecami w coś twardego.

Nawet nie przyszło jej do głowy, że weszła na jakiś mebel. Zaczęła krzyczeć.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Chuck siedział na brzegu łóżka, kiedy usłyszał przeraźliwy krzyk Meredith. Zbudził się zaledwie chwilę wcześniej, czując dziwny niepokój, i na wszelki wypadek otworzył drzwi na korytarz. Całe szczęście.

Nie zastanawiając się ani chwili ruszył biegiem.

- Meredith?! - zawołał, wpadając do jej pokoju. W jego głosie był strach - rzecz karygodna u profesjonalisty.

Usłyszał hałas przewracanego krzesła, a potem przekleństwo. Żyła, na szczęście.

W świetle księżyca rozjaśniającym ciemne wnętrze zauważył szczupłą postać, wykonującą gorączkowe ruchy przy łóżku.

Potem rozległo się pstryknięcie i rozbłysła lampka nocna.

Zamrugał. Kiedy jego wzrok przyzwyczał się do światła, zobaczył Meredith szczerze opatuloną w koc. Drżała, ale wydawała się bardziej zakłopotana niż przestraszona.

- Zbudziłam cię? Przepraszam. Nie chciałam cię niepokoić.

- Meredith, krzyczałaś. Co się stało?

Potrząsnęła głową.

- Ja nigdy nie krzyczę.

Chuck uniósł brwi.

- Zdarzyło mi się to pierwszy raz w życiu. Przysięgam - oświadczyła, widząc jego powątpiewającą minę.

Wstydziała się swojej słabości. Dlatego jej strach natychmiast zmienił się w złość, którą musiała wyładować na Chucku.

- Zarzekałeś się, że potrafisz zapewnić mi ochronę. I co? Jeśli ranczo jest naprawdę bezpieczne, takie rzeczy nie powinny się tu zdarzyć!

- Jakie rzeczy?

Wyciągnęła rękę spod koca i pokazała palcem otwarte okno.

- Tam! Widziałam mężczyznę, który mnie obserwował.

Chuck jednym susem dopadł okna.

- Kto?! Gdzie?! - zawołał, wpatrując się w ciemność.

- O! Myślisz, że on tam na ciebie czeka? - zapytała ironicznym tonem. - Jeśli to był Richard Rourke, zniknął, kiedy tylko usłyszał mój krzyk.

- Rourke? Na ranczu? - Chuck potrząsnął głową.  
- Mowy nie ma. Nie dotarłby aż tu niezauważony.



- Jasne. Tylko że ja widziałam to, co widziałam. Podszedł do niej i uspokajająco poklepał ją po plecach.

- Złotko, powiedz mi trochę dokładniej, co tam zobaczyłaś, dobrze?

- Nie traktuj mnie jak idiotki! - syknęła ze złością. - Chcę ci powiedzieć, że w Akademii miałam najwyższe oceny za odróżnianie szczegółów w ciemności.

Chuck wysłuchiwał jej opowieści, powstrzymując się od komentarza.

- Jesteś pewna, że to nie był sen? - zapytał tylko, po czym pośpiesznie zamknął okno i zaciągnął zasłony. - Na terenie rancza nikomu nie wolno palić. Moi ludzie dobrze o tym wiedzą i żują tytoń. Trzeba sprawdzić to miejsce. Ubieraj się. Pójdę po latarkę i strzelbę.

Wyszedł szybko z pokoju.

Niepokoił się - to prawda. Ale głównym powodem jego pośpiechu była ona. Od dłuższej chwili wyobrażał sobie jej nagie ciało rysujące się pod kocem. Krew buzowała mu w żyłach jak dzikiemu mustangowi. Nie mógł dopuścić, żeby dostrzegła, jak bardzo jest podniecony.

Kiedy wrócił z całym ekwipunkiem, Meredith, kompletnie ubrana, czekała w holu. Nie zdążyła tylko związać włosów, które złotą kaskadą spływały jej na plecy.

Odetchnął głęboko. Świerzbili go palce. Z trudem powstrzymywał się, żeby nie dotknąć błyszczących i miękkich jak jedwab pukli.

- Nie ruszaj się stąd - nakazał, nie zwracając uwagi na jej protesty. - Jeśli będzie trzeba, zawołam ludzi.

Obszedł wskazane przez nią drzewo.

Wydawało się, że nie ma tam nic poza zeschniętymi liśćmi. Chuck był pewien, że Rourke nie mógł trafić pod okno Meredith.

A jeśli nie on, to kto?

Na ranchu było kilku robotników, którzy odpowiedzialiby opisowi, ale żaden z nich nie zachowałby się tak głupio. Meredith na pewno się zdawało.

Nagle w kręgu światła mignęło mu coś białego. Schylił się.

A jednak! Zrobiło mu się wstyd, że jej nie uwierzył. Trzymał w palcach jeszcze ciepły niedopałek.

Co, u diabła? Nie dawniej niż kwadrans temu ktoś tu stał.

Oblał się potem i zaklął głośno.

Od tej chwili nie wolno mu spuścić Meredith z oka. Trzeba pilnować jej dzień i noc. Nawet jeśli będzie protestować.

Przez kilka następnych dni Chuck nie ruszał się z domu bez Meredith.

Musiała towarzyszyć mu przy wszystkich pracach na ranczu.

A kiedy godzinami wpatrywał się w komputer, poszukując w sieci jakichś śladów Rourke'a, ona siedziała przy drugim monitorze i grała w gry albo schodziła do kuchni pogawędzić z Lupe.

Jakby tego było mało, nocą jeden z kowbojów dyżurował przed jej oknem.

Meredith nie miała pojęcia o gotowaniu, ale towarzystwo Lupe sprawiało jej wyraźną przyjemność.

Meksykanka, która pracowała dla Gentrych od dwudziestu lat i była żywą kroniką rodziny, chętnie dawała się brać na spytki i opowiadała mnóstwo historii z dzieciństwa i młodości Chucka, którego wprost uwielbiała.

Teraz byli w kuchni we troje. Meredith pomagała Lupe w przygotowywaniu skomplikowanego ciasta z czereśniami, a Chuck z błogą miną małego chłopca wylizywał miski po słodkich kremach, które podtykała mu Lupe.

Nagle w kuchennych drzwiach stanęła zdyszana Abby. Przez chwilę łapała oddech.

- Chuck! Szukam cię wszędzie! - zawołała. - Pilnie potrzebujemy twojej pomocy. Dzięki, Meri. - Wzięła szklankę wody, którą podała jej Meredith, przełknęła łyk i zwróciła się znów do brata. - Jake pyta, czy nie pomógłbyś nam dziś po południu. Bra-

kuje nam rąk do pracy. Czterech ludzi pojechało wczoraj do Amarillo po byki, Jim Bingham zranił sobie rękę drutem kolczastym, a Lawrence ma kłopoty z żołądkiem. Fuj - skrzywiła się Abby. - Przerzuciłam z nim dzisiaj siano, a on puścił pawia,

- Jeszcze coś? - Chuck nie wydawał się zbyt przejęty.

Abby podparła się pod boki i zmarszczyła brwi.

- Rusz się, wielki zarządco! Jake potrzebuje pomocy. Korona ci z głowy nie spadnie, jeśli trochę popracujesz. Jeden z pilotów zauważył żrebaka, który nie może wydostać się z parowu. Zrób coś, bo wokoło zaczynają się kręcić kojoty.

Chuck nic sobie nie robił ze złośliwości Abby.

- Gdzie jest ten parów? - zapytał wstając. - Czy mam siodłać konie?

Nie konia, ale korne. Zesztywniała ze strachu Meredith spodziewała się najgorszego.

- Nie trzeba. Dojedziesz tam autem - machnęła ręką Abby. - To ze sto metrów od polnej drogi w sektorze siedemnastym. Nie pomogę ci, bo muszę gnać z powrotem. Nie zapomnij krótkofalówki, żeby w razie czego porozumieć się z pilotem.

- Nie spodziewałem się, że ze mną pojedziesz. Wezmę Meredith. Na pewno będzie potrzebna.

Dotarcie na miejsce zajęło im ponad godzinę.

Trzęsąc się na wybojach, Meredith żałowała, że nie

siedzi na miejscu pilota i z wysokości nie ogląda szarej od kurzu drogi.

- Głupie zwierzę - narzekał Chuck, wyskakując z szoferki. - Rozumiem, żeby to owca. Owce są głupie i zdarza im się nawet spaść z klifu w przepaść. Ale konie powinny być mądrzejsze.

Wziął zwój liny i ruszyli w stronę niedalekiego wąwozu. Bez kłopotów zlokalizowali karego źrebaka, unieruchomionego pomiędzy dwoma głazami.

Chuck bez trudu zarzucił mu linę na szyję. Zauważył też, że konik stoi na trzech nogach - okazało się, że nad pęciną ma krwawiącą ranę.

- A niech to! Trzeba szyć. - Odwrócił się do Meredith. - Muszę wrócić do samochodu po apteczkę. Zostań tu proszę i spróbuj go trochę uspokoić, dobrze?

Z wahaniem wzięła od niego koniec liny.

Źrebak, wyczuwając jej zdenerwowanie, zaczął strzyc uszami, ale Chuck postanowił, że zostawi ich oboje własnemu losowi. Jedyne, co mógł zrobić, to się pospieszyć.

Kiedy wrócił z apteczką, Meredith stała przy koniu i cichym, łagodnym głosem szeptała mu coś do ucha. Najwyraźniej zdołali się jakoś zaprzyjaźnić.

- Dobra robota - pochwalił ją, kucając przy koniu. - Zaszycę teraz ranę, a potem wspólnymi siłami wyciągniemy go na górę.

- Biedny źuczek. Jak mu na imię? - zapytała.
- Nie dajemy imion źrebakom. Wszystkie mają numery. To są konie do pracy, nie pod wierzch. Później nazwiemy tylko te, które zostaną na ranczu.
- Spojrzał w górę. Nieugięta lodowa księżniczka, która jeszcze niedawno histerycznie bała się zwierząt, tuliła się do źrebaka i patrzyła mu miłośnie w oczy. Uśmiechnął się. - Wydaje mi się jednak, że ten na zawsze zostanie już Żuczkiem.
- Naprawdę? - ucieszyła się.
- Dlaczego nie. Całkiem dobre imię.

Kiedy w końcu wrócili do domu, Meredith odczuwała przyjemne zmęczenie. Była zadowolona i pełna entuzjazmu. Pierwszy raz poczuła, że ranczo można polubić.

Tak się złożyło, że bardzo szybko nadarzyła się okoliczność zweryfikowania tej opinii.

Po prysznicu i pysznej kolacji przygotowanej przez Lupe zabierali się właśnie z Chuckiem do cześniowego ciasta, kiedy na podwórzu znowu pojawiła się Abby.

- Cześć. Już po kolacji? - zapytała, wchodząc do kuchni. Na widok ciasta rozjaśniły się jej oczy. - O rany! Czy mogę dostać kawałek? - Zdjęła palcem lukier z talerza i oblizała palec.

- Abby! Zachowuj się jak dama! - strofowała

ją Lupe. - Usiądź. Zaraz przyniosę ci talerzyk i wi-delec.

Abby posłusznie usiadła.

- Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę, bratku - zaczęła.

- Co znowu?

- Jake wysłał naszego weterynarza razem z chłopa-kami do Amarillo. Stary doktor Wright wyjechał na zjazd weterynarzy, a Maggie prawdopodobnie będzie się dzisiaj żrebić. Trochę za wcześnie, więc Jake pyta, czy posiedzisz dzisiaj przy niej przez całą noc. Ktoś powinien tam być - tak na wszelki wypadek.

Meredith widziała, że Chuck umiera ze zmęczenia, ale nie miała najmniejszych wątpliwości, że się zgo-dzi. I nie pomyliła się, oczywiście.

A ponieważ rygory bezpieczeństwa dotyczące jej osoby zostały zastrzone, o dziesiątej wieczorem znalazła się razem z nim w sali porodowej umiesz-czonej w specjalnej dobudówce przy stajni. Była tam nawet poczekalnia ze stołem, kanapą, małą lodówką i kuchenką.

- Zupełnie jak w prawdziwym szpitalu - zaśmiała się.

Chuck postawił na stole koszyk z jedzeniem.

- Szkoda, że nie mam tu komputera. Przynajmniej nie traciłbym czasu. Takie czekanie na poród potrafi ciągnąć się w nieskończoność. Tam są jakieś koloro-

we magazyny. - Wskazał stolik w rogu. - Rozgość się.

Usiadł obok niej na kanapie.

Była to wielka pomyłka.

W jednej chwili w pokoju zrobiło się duszno, a kanapa wydała mu się dziwnie mała.

scandalous



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Najwyraźniej Meredith także uznała, że kanapa jest zbyt mała dla nich dwojga, bo ledwo Chuck usiadł, ona zerwała się na równe nogi i zaczęła spacerować po poczekalni.

Chodziła tak już od pół godziny, rzucając mu od czasu do czasu przeproszający uśmiech.

W końcu Chuck nie wytrzymał i też wstał.

- Meredith, rozluźnij się. Z Maggie wszystko w porządku. Mamy włączony interkom, więc usłyszę, kiedy będzie mnie potrzebować. Pójdę teraz do niej, a ty spróbuj się zdrzemnąć.

Meredith przystanęła, żeby przełknąć kilka łyków kawy, którą dla niej przygotował, ale nie zamierzała zbliżyć się do kanapy.

Chuck zauważył zmęczenie na jej twarzy. Miała sińce pod oczami i przygnębioną minę.

- Proszę cię, odpocznij chwilę. - Podeszedł, wyjął jej kubek z ręki i poprowadził ją do kanapy.

Usiadła, sztywna jak struna i spojrzała na niego

w wyraźnym popłochu. Jakby bała się, że Rourke za chwilę pojawi się w drzwiach. Albo jakby to on był Richardem Rourke.

- Wydajesz się taka zmęczona. Zdejmij buty, to rozmasuję ci stopy. To powinno pomóc. - Nawet nie drgnęła, więc ukląkł i sam zdjął jej kowbojki, a potem skarpetki i zaczął ugniatać palce u nóg. - Widzisz? Od razu lepiej.

Ale kiedy tylko dotknął jej skóry, przeszył go prąd - jakby pomiędzy nimi przebiegła iskra elektryczna.

Był pewien, że Meredith poczuła to samo, bo jej mięśnie zeszywniały mu pod palcami. I wtedy zrozumiał:

Tu wcale nie chodziło o Richarda Rourke'a. Ona bała się jego! A raczej tego wszystkiego, co dzieje się między nimi.

Zakłopotany, wstał znowu. Nalał gorącej wody do wiaderka i podstawił jej pod nogi.

- Wymocz stopy w wodzie. To naprawdę pomaga - powiedział. - I nie obawiaj się. Nie zrobię nic, czego nie zechcesz. Przecież jestem tu, żeby cię bronić, nie atakować.

Posłusznie włożyła stopy do wody.

- Jak miło! - westchnęła z ulgą, przymknęła oczy i nareszcie rozsiadła się wygodnie.

Chuck z zachwytem patrzył na jej pełne usta. Po-tem zauważył żyłkę pulsującą na szyi i z trudem po-

wstrzymał się, żeby nie pocałować jej dokładnie w to miejsce.

Trzęsącymi się rękami zaczął wycierać do sucha stopy Meredith. Nagle, bez zastanowienia, schylił się i delikatnie złapał zębami jej duży palec.

Miał nadzieję, że ją rozśmieszy, tymczasem stało się coś niespodziewanego.

Meredith otworzyła oczy, wciągnęła powietrze i gwałtownym ruchem złapała go za ramiona.

Spojrzała mu prosto w oczy i w tej samej chwili poczuł na ustach jej usta.

Woda z wiaderka prysła na podłogę, ale nawet tego nie zauważył. Był zgubiony.

Wpił się w jej wargi. Pachniały kawą i czereśniami. Kompletnie stracił głowę.

Resztką sił oderwał od niej ręce. Ale wtedy ona przylgnęła do niego całym ciałem.

Całowali się z dziką namiętnością, dopóki nie zabrakło im powietrza.

- O rany! - zaśmiała się cicho, kiedy w końcu oderwali się od siebie. - Jeszcze nigdy tak się nie całowałam. Co powiesz na to, żeby zrobić to jeszcze raz?

Usiadł obok niej i wziął ją za rękę.

- Jak sobie życzysz, kochanie. - Pochylił się, żeby pocałować wewnątrz jej dłoni.

Potem bardzo powoli przesuwał wargi coraz wyżej. Kiedy dotarł do zgięcia jej łokcia, usłyszał jęk.

Meredith nie ukrywała, że go pragnie. Po omacku poszukała jego ust i wpiła się w nie.

- Kochaj się ze mną, Chuck - wyszeptała, widząc pożądanie w jego oczach.

Piersi rozsadzały jej bluzkę, sutki stwardniały w oczekiwaniu na to, co się zdarzy.

Tymczasem on znieruchomiał z rękami opartymi o biodra.

Nie mogła dłużej czekać. Wyszarpnęła bluzkę ze spodni i ściągnęła ją przez głowę.

- Zrób to... Teraz. Zaraz.

Chuck oddychał chrapliwie. Jeszcze żadna kobieta nie wydała mu podobnego rozkazu.

To było... To było niesamowite.

- Dotknij mnie - powiedziała błagalnie.

Zerwał z niej stanik i złapał wargami naprężony sutek. Ręką pieścił jej drugą pierś. Potem przyciągnął ją do siebie i gradem pocałunków okrył oba sutki.

Ciało Meredith było jak z wosku - poddawało się każdej pieszczocie.

Rozpiął jej dzinsy i omal nie stracił kontroli nad sobą, kiedy pod palcami poczuł wzniesienie łonowe. Ona wygięła się w łuk, żeby ułatwić mu dostęp do siebie. Była wilgotna i gotowa na jego przyjęcie. Drgnął i jednym szybkim ruchem zdjął z niej resztę ubrania.

Meredith wyciągnęła rękę i rozpięła mu klamrę

u spodni. Widział, jak przygryzając wargi, patrzy szeroko otwartymi oczami na jego wyprężony w erekcji członek. I pomyśleć, że jeszcze niedawno miał ją za lodową księżniczkę.

- Kochanie... - wyjąkał. - Na pewno tego chcesz? Nie chciałybym...

Zamiast odpowiedzi rozchyliła dłońmi swoje uda.

Chuck przestał pytać. W ogóle przestał myśleć.

Kochali się jak para szaleńców, raz, drugi i trzeci, do utraty tchu.

Kiedy zmęczona Meredith opadła na poduszki kanapy, była pewna, że jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak wspaniale.

Całe jej ciało śpiewało ze szczęścia. Przytulona do Chucka zapadła w głęboki, spokojny sen.

Chuck obudził się nagle. Trzymał w ramionach śpiącą Meredith - dziką i namiętną kobietę, która zaczynała znaczyć dla niego coraz więcej.

Bał się tego. Wiedział; że jest dziewczyną z miasta, która odejdzie, kiedy tylko okoliczności na to pozwolą. Życie na ranchu nie było dla niej.

Leżąc w ciemności, Chuck zastanawiał się, czy on - stary człowiek po trzydziestce, powinien angażować się w związek?

Nie. Zdecydowanie nie.

Postanowił wstać i sprawdzić, co dzieje się u Maggie.

Otulając Meredith kocem, nie mógł się powstrzymać, żeby nie ucałować jej złocistych włosów.

Był już ubrany, kiedy z interkomu dobiegło go zaniepokojone parsknięcie Maggie.

Dziwne. To nie były odgłosy, jakie wydaje rodząca klacz.

Podbiegł do drzwi i wpadł do stajni. Dym! Gdzieś się paliło. Maggie, która wyczuła to natychmiast, miała przerażone oczy. Położyła uszy po sobie i biła kopytami w ziemię.

Chuck odwrócił się na pięcie i w kilku susach znalazł się przy Meredith.

- Obudź się! - zawołał. - Gdzieś się pali. Nie wiem, dlaczego nie odezwał się jeszcze alarm. Ubierz się jak najszybciej. Musimy wyprowadzić stąd Maggie i odnaleźć źródło ognia.

Nigdy nie widział kobiety, która ubrałaby się tak szybko.

Widać, że służyła w armii. Ledwie zdążył sięgnąć po latarkę, kiedy ona, całkowicie gotowa, stała przy drzwiach prowadzących do stajni.

Właśnie wtedy rozległ się ryk syreny, a z umieszczonych w ścianach hydrantów chlusnęła woda.

- Ja wezmę Maggie - krzyknął - a ty otwórz drzwi! Ale nie wychodź pierwsza, bo ktoś może czekać na zewnątrz, aż się pojawisz.

Zanim zdążyli wyprowadzić klacz, całe ranczo było już na nogach.

Zewsząd biegli półubrani ludzie, nawołując się i przepychając.

Chuck oddał Maggie jednemu z nich.

- Jake! - zawołał na widok starszego człowieka, który stanowczym głosem wydawał polecenia dezorientowanym robotnikom. - Wiesz, gdzie wybuchł pożar?

- Prawdopodobnie w belach słomy na tyłach pustej stajni dla żrebaków. Jedna ściana stanęła w ogniu jak pochodnia. Żeby coś takiego wydarzyło się akurat wtedy, kiedy brakuje nam ludzi!

W tej chwili pojawiła się Abby, rozczochrana, w niedopiętej koszuli, którą biegnąc wpychała w spodnie.

Na jej widok Meredith bezwiednie dotknęła własnej głowy. Wyglądała podobnie. Ani śladu warkocza. Bardzo nieregulaminowo.

Przeczesała nerwowo włosy, próbując doprowadzić je do ładu - bezskutecznie.

- Meri! - zawołał Chuck, który pojawił się nagle obok. - Trzymaj się Abby, dobrze? Ona dopilnuje, żeby nic ci się nie stało. Idę gasić stajnię. Musimy uruchomić motopompy. Użyjemy helikoptera do transportu wody z rzeki.

- Ja też mogę wam pomóc.

- Nie. To zbyt niebezpieczne. Abby, trzymajcie się z daleka, bo lada moment runie dach. I nie spuszczaaj Meri z oka. Podejrzewamy z Jakiem, że ktoś mógł podłożyć ogień. A jeśli tak, to trzeba jej pilnować.

- Chuck przyciągnął do siebie Meredith, objął ją mocno w pasie i pocałował. - Uważaj na siebie, do-brze?

Patrzyła za nim z czułością i zastanawiała się nad swoimi uczuciami. Czy to już była miłość? Chyba tak.

Źle się stało. Ich związek nie ma szans.

Wiedziała, że im mocniej się zaangażuje, tym bardziej będzie cierpieć, kiedy stąd odjedzie.

A odjedzie na pewno, bo jej życie to samoloty i miasto, nie bezkresne łąki rancza na krańcu świata.

Godzinę później Meredith i Abby wciąż stały na dworze, obserwując dopalającą się stodołę.

- Mamy szczęście. Wiatr ustał. - Abby skończyła rozmawiać przez komórkę z pilotem helikoptera. - Ogień nie przeniesie się na sąsiednie budynki. To dobrze, bo pilot ledwo żyje ze zmęczenia. Wczoraj latał od rana do nocy. Potem zaczęło się palić i musiał znowu usiąść za sterami.

- Przecież ja też jestem pilotem. Mogłabym go zastąpić. Niech mi tylko pokaże, jak czerpać wodę z rzeki.

- Mowy nie ma. - Abby pokręciła stanowczo głó-



wą. - Chuck dostałby szału, gdyby się dowiedział, że pozwoliłam ci lecieć.

- Dlaczego? Rozumiem, że nie chciał, żeby ludzie wiedzieli, że jestem pilotem, ale to wyjątkowa sytuacja. Poza tym w powietrzu jestem bezpieczna, bo tam Rourke nie może mnie dopaść.

- To nie o to chodzi.

- A o co? - Meredith spojrzała na nią ciekawie.

Abby skrzyżowała ręce na piersi i milczała chwilę.

- W normalnych okolicznościach uważałabym, że to Chuck powinien opowiedzieć ci o wszystkim, ale na razie się na to nie zanosz. Kilka lat temu mój brat się zaręczył.

- Wiem. Opowiadał mi kiedyś o Ellen.

- Nie wiesz jednak, że Ellen zginęła w katastrofie samolotowej. W drodze na ślub, który miał się odbyć tu, na ranczu. Chuck wysłał po nią mały samolot. Chciał jej skrócić podróż. Od tego czasu nikomu z nas nie wolno latać.

Meredith nie zdołała wyjąkać ani słowa. Patrzyła na Abby i wyobrażała sobie, co czuł wtedy Chuck.

- Wiesz - ciągnęła Abby - on zawsze troszczył się o innych. Zaczęło się od zwierząt. Do dzisiaj umie je leczyć tak dobrze jak weterynarz. Po śmierci rodziców to on został głową rodziny. Uznał, że ma obowiązek zapewnić nam wszystkim bezpieczeństwo i szczęście. Po śmierci Ellen zadreślał się, że to jego

wina. Zamknął się w sobie. Zdziwaczał. Dawno nie widziałam mojego brata w takim humorze jak teraz. Wszystko dzięki tobie, Meri.

Meredith poczuła dojmujący, ucisk w sercu.

Wszystko przepadło.

Nawet kiedy wmawiała sobie, że ich związek nie ma szans, miała cień nadziei. Teraz wiedziała, że nic z tego.

Latanie, które dla niej jest najważniejszą rzeczą na świecie, było tym, czego Chuck nigdy nie zaaprobuje.

Następnego ranka Jake wziął kilku ludzi, żeby uprzątnąć to, co pozostało po stajni.

Chuck zamierzał do nich dołączyć, kiedy na podwórzu zobaczył Allena, weterynarza, który kilka godzin wcześniej wrócił na ranczo ze świeżo kupionymi bykami.

- Właśnie wracam od Maggie. Fałszywy alarm. Będzie się żrebić najwcześniej jutro. Obejrzałem też żrebaka i jestem pod wrażeniem, Chuck. Zeszyłeś tę ranę jak prawdziwy lekarz.

Chuck puścił komplement mimo uszu.

- Czy ta rana nie wydała ci się trochę dziwna?  
- zapytał.

- Owszem. Właśnie chciałem o tym z tobą porozmawiać. Jestem pewien, że ktoś zranił żrebaka celowo. Oстрыm nożem.

Chuck zaklął pod nosem.

Nie dalej jak pół godziny wcześniej dowiedział się od Jake'a, że zwęglone deski do tej pory śmierdzą naftą. Ktoś oblał nią budynek oraz bele słomy, a potem podłożył ogień.

Czyżby Richard Rourke wytropił Meredith i niezauważony przez nikogo dostał się na ranczo?

Wydawało się to nieprawdopodobne, ale kto wie?

Zbyt wiele zbiegów okoliczności naraz.

W tej sytuacji postanowił opowiedzieć wszystko szeryfowi. Tylko on mógł zapewnić Meredith dwudziestoczterogodzinną ochronę policji i wysłać ludzi, żeby przeczesali okolicę.

Rourke nie da rady długo ukrywać się w nieznanym dla siebie terenie.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Meredith stała akurat na drabinie i robiła porządki w górnych szafkach kuchennych, kiedy w drzwiach stanął Chuck.

Podszedł do zlewu, ale ona nie odwróciła nawet głowy, tylko pospiesznie kończyła robotę.

Spodziewała się, że – tak jak inni mężczyźni – Chuck nie będzie zbyt zadowolony ze zmian, nawet jeśli zmiany dotyczą kuchni.

Od pożaru... i od ich fantastycznej wspólnej nocy minął prawie tydzień.

Przez cały ten czas Chuck spędzał z nią nie więcej niż kilka minut dziennie i zawsze zachowywał się tak, jakby nie pamiętał o niczym.

Meredith natomiast wiedziała, że ona sama nie zapomni nigdy tego, co razem przeżyli. Skoro jednak Chuck nie chciał o tym rozmawiać, milczała.

Może miał rację? Policja złapie w końcu Richarda Rourke'a i Meredith wyjedzie stąd na zawsze.

Czasami jednak fantazjowała, że pozostają kochankami. Kochankami i przyjaciółmi.

Mogłaby wpadać na ranczo raz na miesiąc w przerwach w pracy. W końcu dla pilota to żaden problem.

Zaraz jednak przypominała sobie opowieść Abby. Po tym, co stało się Ellen, Chuck nie zniósłby myśli o jej lataniu.

Sam też nie wsiadłby do samolotu, żeby ją odwiedzić. Wyjazd z rancza oznaczać będzie zerwanie na dobre.

- Meredith! - usłyszała. - Schodź zaraz, bo zrobisz sobie krzywdę. Trzeba było poprosić o pomoc któregoś z ochroniarzy. Meredith, czy ty słyszysz, co do ciebie mówię?

- Spadaj, Gentry - wykrzywiła się do niego. - Nie ma dnia, żeby piloci nie musieli wspinać się po drabinach. Dla nas to kaszka z mlekiem. A co do ochrony, to uważam, że przesadzasz.

Zerknęła przez ramię i zobaczyła, że skrzywił się, słysząc jej słowa.

- A swoją drogą, co ty tam wyprawiasz? - Podszedł do niej. - I gdzie jest Lupe?

Uwaga! Widząc go tak blisko, gotowa naprawdę zrobić niewłaściwy krok.

- Robię porządek w szafkach. Lupe wyjechała do San Angelo na zakupy. - Meredith zawiesiła na haczyku ostatni kubek i zamknęła drzwiczki. - Uff. Skończyłam.

Zaczęła schodzić.

Chuck wyciągnął rękę, schwycił ją w pól i postawił na podłodze.

- Czy Lupe wie, co tu się dzieje? - zapytał.
- Jasne, że tak. Nie tylko wie, ale to pochwała
- mruknęła, sztywniejąc.

Wystarczyło, że Chuck jej dotknął, a już poczuła przeskakującą pomiędzy nimi iskrę.

Nie miała pojęcia, że tak bardzo pragnie dotyku jego dłoni. Stop! Nie wolno myśleć o tym, co nie powinno się wydarzyć.

Tymczasem Chuck znowu kręcił się przy zlewie.

- Co tam robisz? - zapytała, żeby zmienić temat.

Wtedy on odwrócił się do niej. Meredith otworzyła szeroko oczy. Miała wrażenie, że serce przestaje jej bić. Ten przeklęty facet trzymał przed sobą bukiet ciemnopurpurowych róż.

- Proszę. - Niepewnym ruchem wyciągnął rękę.
- Na przeproszenie, że zaniedbywałem cię przez kilka ostatnich dni. Nie miałem ani chwili czasu przez ten cholerny pożar, rozmowy z szeryfem i poszukiwanie śladów Rourke'a w sieci. Au! - Podskoczył, bo ukłuł się w palec.

Właśnie, pomyślał. Próbujeś powiedzieć kobiecie, co do niej czujesz, i natychmiast natrafiasz na kolec.

- Poczekaj - powiedział. - Najpierw oskrobie łodygi. - Otworzył szufladę, żeby wyjąć nożyczki, i za-

marł. - Gdzie, do diabła, są nożyczki? Co ty zrobiłaś z tą szufladą?!

Nie dość, że ta kobieta kompletnie zamieszała mu w głowie i w sercu, to jeszcze robi mu bałagan w domu!

— Uporządkowałam ją - odpowiedziała. - Nie wiem, jakim cudem udawało ci się tam cokolwiek znaleźć. A nożyczki wiszą na stojaku, który stoi na blacie. Lupe lubi mieć pod ręką rzeczy, których często potrzebuje.

Chuck rzeczywiście dostrzegł nożyczki tuż przed swoim nosem. Z ponurą miną zatrzasnął szufladę.

- Co ci przyszło do głowy? - zrzędził oskrobując różę. - Lubię, kiedy wszystko leży tam, gdzie zawsze leżało.

- Lupe miała coraz większe trudności ze znajdowaniem różnych rzeczy, które przez lata rzucałeś, gdzie popadnie - odpaliła. - Jeśli chodzi o organizację pracy, jestem w tym równie dobra jak w lataniu. Lata treningu w wojsku zrobiły swoje. Poza tym, byłam znudzona do ostatnich granic - ciągnęła już mniej pewnym tonem. - Ludzie szeryfa nie pozwalają mi wychodzić z domu. Nie mogę ani biegać, ani odwiedzać Żuczka, ani nawet iść do Abby. A ty...  
- głos się jej załamał.

Podeszła bliżej.

Chuck zobaczył w jej oczach taki smutek, że serce podeszło mu do gardła.

- Dlaczego przyniosłeś mi te róże? - usłyszał.

I był zgubiony. Jednym skokiem znalazł się przy niej i przyciągnął ją do siebie. Nareszcie znalazła się tam, gdzie było jej miejsce - w jego ramionach. Nie zdążył odłożyć róż ani nożyczek. Z pełnymi rękami objął ją mocno i zaczął całować.

Była jak czekolada. Jak najwspanialsze słodczyce, Chuck nie wiedział, jak opisać to, co teraz czuł każdym centymetrem swojej skóry.

Próbował trzymać się od niej z daleka. Nawet dzisiaj. Ale nie udało mu się. Myślał o niej dniem i nocą. Marzył o tym, żeby znowu wziąć ją w ramiona, całować, kochać i patrzeć, jak pod wpływem pieśczoł traci kontrolę nad zmysłami.

Oderwał się od niej dopiero, kiedy zabrakło mu tchu.

- Meri, kochanie! Przepraszam. Nie chciałem cię zranić. - Pospiesznie wyrzucał z siebie słowa, jakby bał się, że nie zechce go wysłuchać. - Wydawało mi się, że lepiej będzie, jeśli się usunę. Bo wiesz, ty niedługo wyjedziesz...

Nie był pewien, czy mówić wszystko, co czuje. Wiedział jedno - musi być blisko niej. Przynajmniej dopóki ona tu jest.

Trzasnęły drzwi wejściowe i w holu rozległy się lekkie kroki. Chuck oderwał się od Meredith i natychmiast wydało mu się, że utracił jakąś część siebie.



- Hej, hej! - zawołała Abby, wpadając do kuchni.
- Jak dobrze, że jesteście oboje. To mi oszczędzi czasu.

Chuck zerknął na Meredith, jakby chciał sprawdzić, czy na jej twarzy dostrzeże jakieś oznaki zmieszania. Ale nie.

Stała piękna i spokojna jak zwykle, chociaż nabrzmiałe wargi i włosy w lekkim nieładzie wskazywały, że przed chwilą coś między nimi zaszło.

Abby rzuciła kapelusz na krzesło i usiadła.

- Moje dzieciaki urządzają imprezę z okazji końca turnusu. Koniecznie chcą, żeby Meredith też przyszła.
- Abby zawahała się chwilę i dorzuciła: - Ciebie też zapraszają - powiedziała do Chueka.

- O! Na pewno - zaśmiał się, widząc niepewną minę siostry. —Już w to wierzę.

Tymczasem Meredith wstawiła róże do wazonu i ustawiła je na środku stołu.

- Zobacz, co dostałam od Chueka.
- Aha. - Abby niedbale skinęła głową. - Ładne. I co, Romeo? Powiedz, czy przyjdziecie, bo nie mogę marnować tu całego dnia.

Meredith zaplotła ręce i również patrzyła na niego pytająco.

- Właśnie, Chuck. Pójdziemy? Nie wychodziłam całe wieki, a poza tym chciałabym pożegnać się z dziećmi.

Światło zza okna załamywało się w jej włosach. Była taka piękna, że zapierało dech w piersiach. Gzy Chuck mógł odmówić takiej małej prośbie?

- Powiem o tym szeryfowi. Na pewno zgodzi się, żeby któryś z jego ludzi poszedł z tobą. Ale wszystko i tak zależy od agentów FBI, którzy zjawia się tu dzisiaj.

- Czy to znaczy, że uznali, że Rourke kręci się w okolicy? - zapytała Abby.

Chuck wzruszył ramionami.

- Kto to wie? Zostaliśmy nagle zasypani wiadomościami o nim. Gdyby we wszystko wierzyć, Rourke powinien jednocześnie być w Kolorado, Michigan i w stanie Waszyngton. Na dodatek czterej faceci z naszego hrabstwa przysięgają, że kilka dni temu widzieli człowieka, który odpowiada jego rysopisowi. Agenci sprawdzają każdą informację.

Meredith przeszedł dreszcz.

- Czy naprawdę wierzą, że Rourke mógł mnie tu wytropić?

- Wiesz... - Chuck mówił powoli i z namysłem.  
- Jak dotąd, nikt do ciebie nie strzelał. A on jest wyborowym strzelcem, który strzela z dużych odległości. Z drugiej strony, okazało się, że Rourke w młodości siedział dwa razy w poprawczaku za podpalenie. Fakt pozostaje faktem, że nie mają żadnych konkretnych dowodów na jego obecność w okolicy.

Meredith czuła się tak, jakby oblażło ją tysiące mrówek na raz. Najchętniej by stąd uciekła.

Zaczęła nerwowo chodzić od ściany do ściany. Niemal w tej samej chwili Abby znalazła się u jej boku- Musiała bardzo wyciągać nogi, żeby dotrzymać kroku Meredith.

- Nie zadręczaj się, Meri. Niedługo spadną pierwsze śniegi. Nie ma lepszych tropicieli niż nasi ludzie. Jeśli Rourke pojawi się na ranczu, zostanie od razu złapany.

Meredith zwolniła, żeby chodzić razem z Abby.

- Nie zapominaj, że Rourke doskonale daje sobie radę w każdym terenie. Ktoś taki jak on zawsze wy-  
mknie się. pościgowi.

Kiedy dziewczyny po raz trzeci okrążyły stół, Ghuck nie wytrzymał i zastąpił im drogę.

- Zaczekaj, kochanie - powiedział do Meredith, kładąc ręce na jej ramionach.

Uspokoiła się od razu.

- Meredith! - mówił łagodnie, ale dobitnie. - Na naszym ranczu jesteś bezpieczna. Przedsięwzięliśmy wszelkie możliwe środki ostrożności. Nic ci się tu nie stanie.

- Nie o to chodzi, że boję się jego - zaczęła, od-  
dychając głęboko. - Chciałabym sama coś zrobić dla własnej obrony, a nie czekać jak ruchomy cel.

- Rozumiem, kochanie - uśmiechnął się do niej

Chuck. - Skoro moja ochrona wydaje ci się niewystarczająca, dam ci broń. Co ty na to?

- Naprawdę? - podskoczyła z radości, ale widząc, że Chuck poczuł się nieco urażony jej entuzjazmem, dodała szybko: - Nie chodzi o to, że nie mam do ciebie zaufania, Chuck. Po prostu nie mogę być... takim niczym. Postaraj się to zrozumieć.

Godzinę później zaczął padać śnieg.

Abby i Meredith, w towarzystwie zastępcy szeryfa z odbezpieczonym karabinem w rękach, szły do ujeżdżalni.

Trzy kroki za nimi maszerował drugi przedstawiciel prawa, też uzbrojony. Obaj przez cały czas pozostawali w kontakcie radiowym z szeryfem.

Meredith uznała to za wielką przesadę. Z pistoletem za paskiem spodni czuła się bezpieczna i odpowiedzialna za siebie. Wszystko dzięki Chuckowi.

- Jak duże jest wasze ranczo? - zapytała.

Zastanawiała się, ilu ludzi potrzeba, żeby sprawdzić ślady na całym terenie. Czy w ogóle da się to zrobić w ciągu jednego dnia?

- Ranczo dzieli się na dwieście osiemdziesiąt sektorów, co razem daje ze sto osiemdziesiąt tysięcy akrów - wyjaśniła Abby. - Zatrudniamy dwudziestu ludzi przez cały rok, nie licząc kucharzy, sprzątaczek i pracowników sezonowych. Są jeszcze weterynarz i piloci.

- Gdzie mieszkają ci wszyscy ludzie?
- Mamy trzy mieszkalne baraki, każdy dla sześciu osób, i kilka domków, rozrzuconych po całym terenie. Najbliższy jest około dwudziestu pięciu mil stąd. Latem, kiedy przepędza się stada na dalsze pastwiska, ludzie mieszkają w namiotach.

- Dwadzieścia pięć mil stąd? ~ Meredith nie mogła uwierzyć.

Ranczo Gentrych nie było duże. Ono było ogromne!

- Uhm - obojętnie pokiwała głową Abby. - Mamy ponad trzy tysiące sztuk bydła, dwanaście tysięcy owiec i prawie tysiąc kóz gatunku angora. Dodaj do tego - zmarszczyła brwi i zastanowiła się chwilę - około dwustu koni, których używamy do pracy.

Zdziwienie Meredith jeszcze wzrosło.

I pomyśleć, że Chuck miał zaledwie siedemnaście lat, kiedy zaczął kierować takim kombinatem!

Niewielu generałów lotnictwa ma szansę dowodzić czymś równie wielkim.

Chuck objeżdżał właśnie jedno z pastwisk w poszukiwaniu obcych śladów, kiedy rozdzwoniła się jego komórka.

Zatrzymał klacz, otrząsnął z siebie mokre płatki śniegu i sięgnął do kieszeni. Telefonował szeryf Alvarez.

- Mam dobrą wiadomość i złą wiadomość, Gentry

- zaczął szeryf. W jego głosie Chuck wyczuł zdenerwowanie. - Przed chwilą dzwonił Kyle Sullivan. Patrol straży granicznej w stanie Michigan zatrzymał Rourke'a, który próbował przedostać się do Kanady.

- Kanady?! - upewnił się zaszokowany Chuck.

- Właśnie. To znaczy, że podejrzany nie miał szansy być w Teksasie, nie mówiąc już o ranczu Gentrych. - Szeryf zawiesił głos.

Minęło kilka sekund, zanim Chuck zdał sobie sprawę, co to oznacza.

- Chce pan powiedzieć, że podpalenia dokonał ktoś inny, tak? To naprawdę jest zła wiadomość.

- Właśnie, synu. Agenci FBI dostali już rozkaz wyjazdu z naszego hrabstwa. Obawiam się, że na nas dwóch spadnie zadanie złapania tego łajdaka, który buszuje po ranczu.

W tej samej chwili Chuck zawrócił konia. Szeryf miał rację. Akty wandalizmu nie miały nic wspólnego z osobą Meredith. Ich celem był on i jego rodzina.

Skoro jednak Rourke'a nigdy tu nie było, kto stał pod oknem Meredith? Kto zranił konia i podpalił stodołę? Nie przypuszczał nigdy, że ma tu takich zawziętych wrogów.

To jasne, że gdyby nawet Rourke dotarł na ranczo, nie afiszowałby się ze swoją obecnością. Był szalony, ale nie głupi.

Jego celem była Meredith. Przecież Chuck sam jej

powtarzał, że metodą działania tego faceta są strzały z ukrycia.

Powinien więc pamiętać, co sam mówi, a nie tracić czas na niepotrzebne działania.

Meredith.

Pomimo poważnych kłopotów Chuck myślał teraz o niej. Na pewno wyjedzie stąd niedługo. Złotowłosa piękność, która tylko na pozór wydawała się twarda jak skała i chłodna jak lód.

Co do niej czuł?

Przyszło mu do głowy słowo „miłość”, o którego istnieniu zapomniał dawno temu. Czyżby ją kochał?

Od czasów Ellen nie doznawał podobnie intensywnych uczuć.

Był jednak realistą. Stały związek z Meredith nigdy się nie uda.

Ona chciała latać. Potrzebowała miejskiego gwaru. Takim dziewczynom jak ona życie na wsi wydaje się nudne.

Nie widział dobrego rozwiązania - przynajmniej w tej chwili.

Zresztą teraz musi wytropić człowieka, który za graża jemu samemu. Kto wie, co złego może jeszcze się wydarzyć?

Meredith oglądała przedstawienie przygotowane przez grupę Abby i zaśmiewała się do łez.

Trzeba przyznać, że te dzieciaki miały wyjątkowe zdolności - nie tylko aktorskie: same napisały tekst wszystkich skeczów i przygotowały pomysłowe kostiumy.

Tylko Bryan odmówił udziału w zabawie. Siedział teraz w ciemnym kącie, zupełnie sam, i patrzył na wszystkich spode łba.

Wydawał się rozpaczliwie samotny. Na jego widok Meredith serce krajało się z żalu. W końcu był tylko bezdomnym nastolatkiem.

Postanowiła, że porozmawia z nim po przedstawieniu.

Musi go przeprosić za tamto upokorzenie. W końcu to z jej powodu doszło do niemiłego incydentu.

Od dnia tańców w pubie Chuck nie wypuszczał jej ze złotej klatki. Przestała chodzić na lekcje jazdy konnej ani nie kontaktowała się z grupą Abby.

Nie miała okazji, żeby szczerze pogadać z Bryanem, i bardzo jej to ciążyło.

Na razie jednak bawiła się ze wszystkimi. Po skończonym przedstawieniu biła brawo i wiwatowała z entuzjazmem.

W końcu Abby udało się przekrzyknąć cały ten zgiełk.

- Byliście wspaniali! - zawołała. - Ja też mam dla was niespodziankę. Wasze klacze chcą się z wami pożegnać. Co powiedzielibyście na ostatni wyjazd



w teren? Wprawdzie jest lekki mróz, ale nie pojedziemy na długo.

Radosne okrzyki były dowodem, że zimno nikomu nie przeszkadza.

Meredith razem ze wszystkimi poszła siodłać konie, kiedy przypomniła sobie o ochroniarzach.

Musi zapytać, czy pozwolą jej wyjechać razem z grupą.

Jednak kiedy wyszła przed stajnię, okazało się, że ochroniarze zniknęli.

- Abby, byłam na zewnątrz. Nigdzie nie widzę ludzi, którzy mieli mnie pilnować. Czy możesz zatelefonować do Chucka i zapytać, co się stało?

Abby bez słowa wystukała numer i podała telefon Meredith.

- Rourke został złapany, więc FBI odwołało swoich agentów - usłyszała od Chucka. - Właśnie wracam do domu. Trzymaj się Abby i grupy. Podpalacz jest na wolności i nie chciałbym, żeby przypadkiem coś ci się stało.

Pomysł wydawał się rozsądny.

Meredith opowiedziała o wszystkim Abby i skończyła siodłać konie. Potem ruszyła wraz z kawalkadą jeźdźców.

Jadąc stępą, zastanawiała się nad tym, co usłyszała.

Rourke siedział w areszcie. Nie miała powodu, że-

by dłużej zostawać na ranczu. Była nareszcie wolna. Przecież o tym marzyła.

Ale im dłużej zastanawiała się nad swoją wolnością, tym większe wątpliwości ją ogarniały.

Co tak naprawdę znaczyła dla niej wolność?

Tylko to, że może wrócić do samotnego życia, które odtąd wypełnione będzie myślami o mężczyźnie, który zostaje na ranczu Gentrych.

Zostało jej jeszcze latanie.

Od kiedy sięgała pamięcią, możliwość spędzenia czasu wśród chmur, z daleka od ludzi, była dla niej najważniejsza na świecie. Z tego czerpała siły do życia w świecie, który nie zawsze był jej przyjazny. W powietrzu szukała pociechy. I zawsze ją znajdowała.

Nieważne, jak bardzo kocha Chucka - nie mogła być z człowiekiem, który zabroniłby jej latać. Ale myśl o życiu z dala od niego była równie bolesna.

Niewielki zastęp jeźdźców ruszył szybciej.

Dawno wyjechali już poza zabudowania gospodarcze. Świat przysypany cienką warstwą śniegu wydał się Meredith piękny.

Nagle powiał ostry wiatr i niebo zaciągnęło się ciemnymi chmurami. Rozpoczęła się śnieżycy.

Ledwo widoczna Abby, jadąca na przodzie zastępu, podniosła do góry rękę i dała znak, że wracają do domu.

Do domu. Meredith zatrzymała swoją klacz i westchnęła ciężko. Od kiedy umarła jej matka, nigdzie nie czuła się jak w domu.

Dopiero tu, na ranczu Gentrych, zrozumiała, co to znaczy mieć dom. Abby i Chuck stali się jej bliscy jak rodzina.

Kiedy podniosła głowę, okazało się, że znalazła się na końcu kawalkady, w pewnej odległości za resztą.

- Nie bój się, mała - rozległ się nagle głos Bryana, który przytrzymał swojego konia, żeby się z nią zrównać. - To się niedługo skończy.

Ucieszyła się na jego widok. Nareszcie będzie miała okazję, żeby z nim porozmawiać. Ale co on powiedział? Nazwał ją mała?!

- Bryan, mam na imię Meredith - powiedziała stanowczo. - Co ma się niedługo skończyć?

Zdała sobie nagle sprawę, że młody człowiek jedzie trochę zbyt blisko - ich kolana niemal się stykały.

Chyba starał się też skłonić jej klacz, żeby skręciła. Rzeczywiście - chciała porozmawiać z nim na osobności, ale smarkacz pozwalał sobie na zbyt wiele.

- Co jest, Bryan? Jedziesz za blisko mnie.

- Ciii. Pomagam ci się stąd wydostać. Nie podnosź głosu, bo nas usłyszą - mruknął.

- Wydostać się stąd? Dlaczego?

Przecież widzę, że ten bubek Gentry więzi cię na

tym zadupiu! - I Bryan złapał jej wodze i skierował oba konie w przeciwną stronę.

Nikt z grupy nie zauważył dwojga jeźdźców ruszających w kierunku wzgórz.

- Chwileczkę, Bryan. Nie potrzebuję pomocy, żeby się stąd wydostać. Nie wolno nam odstawac od grupy, bo Abby będzie się denerwować.

Ale Bryan zachowywał się tak, jakby jej nie słyszał.

- Od wielu dni robię wszystko, żeby cię od niego uwolnić, i nic mi się nie udaje, nawet pożar - westchnął. - Dziś mam ostatnią szansę. Niedaleko stąd jest szałas, w którym ukryłem furgonetkę. Nikt jeszcze nie zauważył, że ją ukradłem.

A zatem to był Bryan!

To on palił papierosa pod jej oknem. Mężczyzna, którego zauważyła pod drzewem, był drobnej budowy. Myślała wtedy, że to Rourke.

Ale czy Bryan naprawdę zdobył się na to, żeby celowo zranić żrebaka? I podłożyć ogień? Nie zaprzeczył. Przyznał się do kradzieży samochodu.

Co gorsza - to ona bezwiednie sprowadziła go na manowce.

Odwróciła głowę.

W gęstym śniegu nie zauważyła nikogo.

Oni także nie zdawali sobie sprawy ze zniknięcia Bryana i Meredith.

Gorączkowo myślała, co powiedzieć chłopcu. Zro-

bił źle, ale w końcu był jeszcze młody. Nie chciał jej krzywdy. Wmówił sobie, że musi jej pomóc.

Zgoda. Popadał już w konflikt z prawem, ale należy dać mu szansę.

Jedyna nadzieja w rozmowie. Pojedzie z nim do szafasu. Musi przemówić mu do rozumu.

Umyślne podpalenie i kradzież to poważne przestępstwa, ale jeśli Bryan sam odda się w ręce szeryfa, będzie potraktowany łagodnie.

- Dobra. Jadę z tobą do szafasu. Musimy pogadać. Ale uprzedzam, że czeka cię również rozmowa z Chuckiem. Mam nadzieję, że jeśli go przeprosisz, pomoże ci wydostać się z kłopotów.

W tym momencie w oczach Bryana błysnęła nieukrywana nienawiść.

- Mam go przeprosić?! - wrzasnął. - Faceta, który ośmieszył mnie przed wszystkimi? Ostrzegłem go, że się zemszczę.

- O czym ty mówisz?

- Zabiję łajdaka gołymi rękami - syknął w furii.  
- Ukradłem z rancza komórkę. Zadzwoń do niego i poproś, żeby znów cię uratował. On to lubi. -  
A kiedy się tu zjawi - Bryan zniżył głos do szeptu  
- dostanie to, na co zasłużył.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Od telefonu Meredith minęło ponad piętnaście minut, a Chuck wciąż nie mógł się uspokoić.

I pomyśleć, że ten cholerny smarkacz był sprawcą całego zamętu. Swoją drogą, trzeba będzie sprawdzić, jakim cudem szczeniak mógł poruszać się po ranczu kompletnie niezauważony przez nikogo.

Czeka go również poważna rozmowa z Abby.

Nie był pewien, czy pozwoli jej na następne zajęcia z trudną młodzieżą.

Chuck odłożył jednak śledztwo i dyskusję z siostrą na później. Teraz liczyła się tylko Meredith.

Wprawdzie zawiadomił już szeryfa oraz postawił na nogi większość swoich pracowników, ale sytuacja wymagała szybkiego działania. Dobrze, że w pobliżu szataśu była piaszczysta droga, którą dało się pokonać dżipem.

Chuck w głębi ducha wiedział, że Meredith powinna dać sobie radę.

Była przecież żołnierzem. I miała broń.

Jednak czuł się za nią odpowiedzialny. Czuł się

odpowiedzialny za wszystkich i za wszystko, co dzieje się na jego ranczu. Taki miał charakter.

Dlatego wcale nie był zadowolony, że do szałasu jadą z nim ludzie szeryfa.

- Hej, Chuck!

Odwrócił się. Matt, pilot helikoptera, przywoływał go ręką.

- Spieszę się, Matt - zbył go Chuck. - Sytuacja na ranczu jest dość krytyczna.

- Wiem. Słyszałem, że chłopak z grupy Abby uprowadził waszego gościa do szałasów w Triple Creek. Polećmy tam helikopterem. Wypogadza się. Dotrzemy tam w niecały kwadrans. Chłopak nie spodziewa się ciebie tak szybko. Zrobisz mu niespodziankę.

Chuck nie chciał fatygować zmęczonego po ciężkim dniu pilota. Już miał grzecznie odmówić, ale się zawahał.

Przecież to on powinien dotrzeć na miejsce pierwszy.

To jemu, nie szeryfowi, smarkacz narobił kłopotów.

Poza tym na myśl o Meredith zdanej na łaskę niezrównoważonego - był tego już pewien - chłopaka, czuł na plecach dreszcz przerażenia. Tak. Jeśli może znaleźć się tam szybciej, skorzysta z propozycji.

- Dzięki, Matt. Lecę z tobą. Przygotuj helikopter. Zawiadomię tylko szeryfa i zaraz wracam.

Meredith wyszła z drewnianej ubikacji i spostrzegła, że stojący obok szałasu Bryan obserwuje każdy jej krok.

Lekka kurtka wydymała mu się na wietrze i widać było, że zmarzł. Twarz miał wykrzywioną ze złości, ale pod maską nienawiści Meredith dostrzegła zagubienie i żal do świata.

Jako dziecko czuła to samo, chociaż jej frustracja nigdy nie przeszła w agresję.

Przez ostatnią godzinę próbowała uspokoić chłopaka i namówić go do spokojnej rozmowy.

Robiła co w jej mocy, żeby jakoś go ratować. Na razie - bezskutecznie. Wciąż jednak wierzyła, że przemówi mu do rozumu.

Umiała być stanowcza i silna. Potrzebowała tylko więcej czasu. Miała nadzieję, że śnieżycą opóźni przybycie Chucka.

- Za długo tam stoisz!, - krzyknął Bryan, zaciągając się papierosem. - Wracaj. Na pewno w środku już się nagrzało.

Wyrzucił niedopałek i przydeptał go obcasem, po czym spojrział na nią ponurym wzrokiem. Grał dorosłego.

Meredith była pewna, że chłopak nie zrobi jej nic złego. A jeśli chodzi o Chucka - cóż, taki dzieciak nie jest dla niego poważnym zagrożeniem.



Bardziej niepokoiła się, że to Chuck może zrobić Bryanowi coś złego.

Rozmowa z nim była krótka. Stanowczo za krótka.

Mówiła niejasno, bo Bryan stał obok, gotowy wyrwać jej komórkę z ręki, ale od razu wyczuła, że Chuck szaleje z niepokoju i wściekłości. Może uspokoi się po drodze?

Weszła do szałas. Żelazny piecyk, do którego wrzuciła wcześniej kilka suchych polan, zdążył rozpaść się niemal do czerwoności. Na zewnątrz szalał wiatr, a w środku było ciepło.

Rodzina Gentrych dbała, żeby ludzie, których nie spodziewane okoliczności zatrzymają z daleka od domu, mieli wszystko, co potrzeba.

W pomieszczeniu był spory zapas drewna i jedzenia, prycze i grube koce. Zwierzęta miały swoją wiatę, a w niej świeże siano.

- Całkiem tu miło. - Bryan zdjął kurtkę i powiesił ją na kołku. - Może zrobimy sobie kawy?

- Chętnie. To nie powinno być skomplikowane.  
- Meredith wyjęła z szafki puszkę z kawą i sięgnęła po czajnik. - Trzeba tylko sprawdzić, gdzie jest woda. Zrobię kawę i porozmawiamy. Martwię się o ciebie, Bryan. Czuję się winna za tamto zajście w pubie. Nie miałam okazji przeprosić cię za to, co się stało.

- Nie musisz mnie za nic przeproszać, złotko - wzruszył ramionami Bryan. - Przecież wiem, że jesteś

więźniem wszechmocnego pana Gentry. To mnie jest przykro, że nie udało mi się uwolnić cię wcześniej.

Meredith potrząsnęła głową.

- Mylisz się, Bryan - przerwała mu. - Ta cała historia jest wyłącznie twoim wymysłem. Jestem tu z własnej woli i nikt mnie do tego nie zmusza.

I nagle zdała sobie sprawę, że tak jest naprawdę. Nie miała pojęcia od kiedy, ale spodobało się jej na ranczu. Naprawdę chciała tu być. Razem z Chuckiem.

Ale Bryan zachowywał się tak, jakby słowa Meredith do niego nie docierały.

- Teraz jesteś wolna - ciągnął z szalonym błyskiem w oku. - Kiedy pozbędę się tego gnojka Gentry'ego, zabiorę cię do miasta. Znam tam każdy kąt i wiem, jak przeżyć na ulicy. Będę się tobą opiekować.

Cholera! Dlaczego każdy osobnik płci męskiej, którego spotyka na swojej drodze, marzy tylko o jednym - żeby się nią zaopiekować? Co ci głupcy sobie wyobrażają?

Co najmniej przez dziesięć ostatnich lat Meredith sama troszczyła się o siebie i znakomicie dawała sobie radę bez żadnej pomocy.

Ale to nie był temat do rozmowy z małym Bryanem.

Meredith zajęła się więc poszukiwaniem pojemnika z wodą. Otworzyła szafkę pod nieczynnym zlewem i uklękła, żeby sprawdzić, co jest w środku.

- Bryan - rzuciła przez ramię. - Nie słuchasz, co do ciebie mówię. Nie mam zamiaru jechać z tobą do miasta, a ty na pewno nikogo nie będziesz się „pozbywać”.

- Niech cię szlag trafi! Tobie wcale na mnie nie zależy! - wrzasnął Bryan histerycznym głosem i zanim Meredith zdążyła się wyprostować, podskoczył do niej i jednym ruchem wyrwał pistolet, który wtknęła sobie za pasek dżinsów.

Musiał go zauważyć, kiedy się schyliła. Odwróciła głowę i zobaczyła, że wycelował lufę prosto na nią.

- Uspokój się - powiedziała łagodnie. - Broń na nic ci się nie przyda. Odłóż ją na bok. Musimy rozmawiać.

Od kilku minut Chuck stał pod drzwiami szałasu i wsłuchiwał się w dochodzące ze środka odgłosy. Dzięki wicherze ani Meredith, ani Bryan nie usłyszeli helikoptera.

Mart wylądował kilkaset metrów dalej, ale natychmiast odleciał, żeby śmigła maszyny nie zamarzyły.

Szeryf ze swoimi ludźmi był w drodze. Chuck spodziewał się ich nie dalej niż za kwadrans. Postanowił na nich zaczekać - Meredith znakomicie dawała sobie radę.

Nagle do jego uszu dotarły ostatnie słowa Meri. Kazała chłopakowi rzucić broń.

Chuck skamieniał z przerażenia: gówniarz miał broń! Przystał myśleć racjonalnie. Odbezpieczył strzelbę, kopniakiem otworzył drzwi i wpadł do środka.

- Rzuć broń i odsuń się od dziewczyny! - krzyknął.

Na jego widok Bryan doskoczył do Meredith. Równocześnie wycelował pistolet w Chucka.

- Nie mam takiego zamiaru, kowboju - powiedział nienawistnym tonem. - To ty rzucisz swoją spluwę.

Chuck poznał pistolet, który wcześniej dał Meredith. Jak mogła być tak nieuważna?

Ten mały kryminalista z manią wielkości miał w rękach naładowaną broń!

Czy ona oszalała? Z przerażeniem w oczach patrzył, jak Meredith szybkim susem stanęła pomiędzy nim a Bryanem.

Wściekłość chłopaka powoli udzielała się Chuckowi. Miał ochotę skrócić mu kark. Tylko że teraz nie miał na to szansy.

- Chuck, proszę cię - usłyszał głos Meredith. - Odłóż strzelbę.

Pokręcił głową.

Meredith wpatrywała się w niego stanowczym, ale przyjaznym spojrzeniem.

Serce przestało mu bić na myśl, że mógłby ją stracić.

- Chuck, czy ci na mnie zależy? - zapytała cicho.

- Zależy mi na tobie bardziej niż na własnym ży-

ciu. Kocham cię, Meri. I nie pozwolę, żeby ten szczeniak cię zastrzelił.

Przez krótką sekundę jej oczy rozbłyły radosnym blaskiem. Uśmiechnęła się do niego.

- Jeśli naprawdę mnie kochasz, to chyba mi ufasz, prawda?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Zaufanie było ryzykowną grą. Ale miłość też była ryzykowną grą.

Milczał.

- Chuck! Jeśli mnie kochasz, musisz wierzyć w to, co robię. Proszę cię. - Meredith z trudem powstrzymywała łzy. - Przysięgam ci, że Bryan nie zastrzeli ani mnie, ani ciebie.

Napięcie między nimi było nie do wytrzymania.

Chuck chciał wykrzyczeć jej w twarz, że od dnia, w którym zaginęli jego rodzice, przestał ufać komukolwiek. Wtedy raz na zawsze postanowił, że należy polegać tylko na sobie.

Ale Meredith nie zdejmowała z niego błagalnego wzroku. W jej oczach było tyle miłości, że Chuck nie miał wyjścia - musiał udowodnić, że jej ufa.

Gdyby tego nie zrobił, zrujnowałby ich uczucie.

- Chuck! Ja też cię kocham. I błagam cię... rzuć broń.

- W porządku, kochanie. Jeśli tego chcesz... - Pochylił się i położył strzelbę na podłodze tuż za swoimi plecami.

Przez cały czas wpatrywał się w twarz Meredith. Jeśli mają zginąć tu razem, niech przynajmniej umrze z jej obrazem w sercu.

- Rzygać mi się chce, kiedy słucham waszych sentymentalnych bzdur! - wrzasnął Bryan wysokim głosem. - Kopnij strzelbę do mnie, Gentry.

- Nie rób tego, Bryan... - Meredith mówiła łagodnie, ale dobitnie. - Odłóż ten bezużyteczny pistolet. Okaż się rozsądny, a obiecuję, że znajdę sposób, żeby ci pomóc.

- Ten facet cię otumanił - pisnął Bryan. - I dlatego musi zginąć. - Wyciągnął rękę i nacisnął na spust.

Przez chwilę nic się nie działo. Chuck nie zdążył nic zrobić, kiedy odezwało się suche kliknięcie. I nic więcej. Wszyscy stali jak wmurowani. Pierwsza zareagowała Meredith.

- O, nie, Bryan! Bardzo mi przykro, ale sam tego chciałeś. - To mówiąc, zrobiła błyskawiczny zwrot, złapała chłopaka za rękę i wykręciła ją do tyłu.

Rozległ się trzask łamanej kości i Bryan runął na ziemię.

- Cholera! Złamałaś mi rękę - jęknął.

Dopiero teraz Chuck otrząsnął się ze zdumienia. Podniósł strzelbę i podbiegł do Meredith.

- Co się stało z nabojami? - zawołał, przyciągając dziewczynę do siebie.

- Wyjęłam je - uśmiechnęła się do niego promień-

nie. - Chyba nie myślałeś, że pozwoliłabym komuś tak nieprzewidywalnemu grozić ci nabita bronią?

Była wspaniała. Chuck nie mógł się powstrzymać, żeby jej nie pocałować.

Po chwili przybył szeryf.

Chuck postanowił, że Meredith i Bryan wrócą dzie-  
niem, a on przeprowadzi oba konie. Nie chciał zosta-  
wiać ich na pustkowiu ze względu na śnieżycę i stada  
kojotów, włóczące się po okolicy.

- Nie ma mowy, Gentry - powiedziała Meredith,  
zatrzaszczając drzwi samochodu, w którym siedział  
zbołały Bryan. - Dopóki tu jestem, nie możesz odstęp-  
pować mnie ani na krok. Sam tak postanowiłeś. Dla-  
tego wrócimy do domu razem.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Hm - mruknął Chuck, zaglądając jej w oczy.  
- Mam lepszy pomysł. Co powiesz na to, żebyśmy napili się kawy? Rozgrzejemy się trochę.

- Niezła myśl.

W szałasie pachniało palącym się drewnem. Meredith zdjęła kurtkę.

- Całkiem tu przytulnie. Zrobię kawę, tylko powiedz mi, gdzie trzymacie wodę.

Podeszła do zlewu i spojrzała pytająco na Chucka. Zachowywał się tak, jakby jej nie słyszał.

Milczał i wpatrywał się w nią bez ruchu.

Powietrze w małym pokoiku wydawało się naładowane erotyzmem. Meredith poczuła, jak jej ciało ogarnia fala gorąca.

- Tam jest pompa - odpowiedział w końcu Chuck.

Było jasne, że ich obojga nie obchodzi już ani woda, ani kawa. Zbliżali się do siebie powoli, jak zahipnotyzowani.

- Jaka ty jesteś piękna! - Chuck dotknął ustami jej



szy. Meredith musiała oprzeć dłonie na jego piersi - bała się, że nie utrzyma się na nogach. - Powiedziałaś, że mnie kochasz - szepnął jej prosto do ucha. - Czy to prawda?

- Uhm - odpowiedziała z trudem, nie dowierając swojemu głosowi, i przytuliła się do Chucka.

Zaczęła rozpinąć mu koszulę. Drugą ręką zdierała ubranie z siebie.

Kiedy stanęła przed nim naga, jęknął i natarł na nią biodrami. Przez szorstki materiał spodni wyczuła jego podniecenie.

Podniósł ją do góry jak piórko i posadził na brzegu stołu.

Kiedy zaczęli się kochać, musiała zamknąć oczy. Bała się, że nie wytrzyma namiętności, która wstrząsała jej ciałem.

Nie do wiary, ale wszystko, czego doznała podczas ich pierwszej nocy, było niczym w porównaniu z tym, co działo się między nimi teraz.

Wiedziała, że kocha. I że jest kochana.

Wracali nocą. Konie cicho parskały, padał lekki śnieg, a oni milczeli. Jednak im bliżej domu, tym Chuck robił się bardziej ponury.

Na miejscu odprowadził Meredith do jej pokoju, otulił kołdrą i oświadczył, że ma mnóstwo pracy.

Zobaczyła go dopiero przy śniadaniu.

Odpowiadał monosylabami, a kiedy wspomniała

coś o wyjeździe, zaproponował, żeby leciała do Seattle jego samolotem.

Meredith z trudem powstrzymywała łzy. Z bólem uświadomiła sobie, że sprawdzają się wszystkie jej obawy.

Miłość to jedno. Prawdziwe życie - to coś innego.

Musiała wyjechać, żeby nie ranić człowieka, którego kochała.

- Co robisz, Meri? - zapytała wesoło Abby, wsadzając głowę do pokoju.

Meredith westchnęła smutno i wrzuciła do torby kolejną podkoszulkę.

- Nic specjalnego. Dzisiaj rano dzwonił z Federalnego Biura Śledczego. Mogę robić, co chcę. Mam tylko stawić się na proces. Kolejny kurs dla pilotów zaczyna się za tydzień, więc jadę do Seattle, żeby znaleźć sobie jakieś lokum.

- Wyjeżdżasz!?! - Abby omal się nie zakrztusiła.  
- Nie mogę uwierzyć, że Chuck na to pozwala. Przecież tak mu na tobie zależy!

- Dlatego wysyła mnie do Seattle waszym samolotem. - Meredith próbowała zażartować, ale jej nie wyszło. - Wiem, że mu na mnie zależy - dodała smutno. - Mnie na nim też. I dlatego nie mogę go zmuszać, żeby zaakceptował moje latanie.

- Trudno to zrozumieć. - Abby rozłożyła ręce i popatrzyła na Meredith ze współczuciem. - Cierpicie obo-

je, bo dla własnego dobra postanowiliście się rozstać.  
Nie rozumiem, dlaczego miłość musi tak boleć.

Chuck miotał się po pokoju jak zwierzę w klatce.  
Miał ochotę coś rozbić, wszystko jedno co.

Następnego dnia odwiezie kobietę, którą kocha, na  
lotnisko. Sam jej to zaproponował.

Tym samym pozwala jej wyjechać na zawsze. Skąd  
znajdzie w sobie tyle siły, żeby znieść rozstanie? Ale  
nie może zatrzymać jej na ranczu.

Miał poczucie, że wyrzeka się szczęścia, które od  
tak dawna omijało go szerokim łukiem.

Meredith jest dla niego wszystkim.

Od jutra będzie czuł się tak, jakby stracił kawałek  
własnej duszy.

Miłość boli. Naprawdę.

Nagle doznał olśnienia. Jeszcze może coś zrobić.

Spojrzał na zegarek. Ma niewiele czasu i mnóstwo  
pracy, ale jeśli się postara, zrealizuje swój plan!

Kiedy w dniu wyjazdu Meredith zeszła na dół na  
śniadanie, Lupe powiedziała jej, że Chuck zjadł dużo  
wcześniej i zaraz potem wyszedł z domu, mówiąc, że  
ma ważne sprawy do załatwienia.

Zrobiło się jej przykro, że ostatnich chwil w tym  
domu nie spędzi z mężczyzną, którego kocha.

Czas naglił.

Meredith wyprostowała się i jeszcze raz weszła do swojej sypialni. Rozejrzała się dookoła.

Wszystko wydawało się znajome - stare ściany, nowoczesne meble połączone z zabytkowymi sprzętami, widok z okna.

Zacisnęła pięści, żeby dodać sobie sił.

Ranczo stało się jej domem. Jak można wyjeżdżać z domu, wiedząc, że nigdy się tu nie wróci?

Gorzej. Jak można odejść od jedynej mężczyzny, którego się kocha? Od człowieka, którego obrazu nie da się wymazać z serca?

Meredith wiedziała, że już nigdy nie zwiąże się z innym mężczyzną. Chuck był wyjątkowy. To, co ich łączyło, miało dla niej zbyt wielkie znaczenie.

Kolejny raz powtarzała sobie, że wyjeżdża, bo go kocha, a ukochanej osobie nie wolno sprawiać przykrości. A jej latanie byłoby dla niego źródłem nieustannego stresu.

Co prawda, czasami słyszała w głowie cichy głos, który mówił, że mogłaby rzucić pracę pilota.

Tylko że wtedy Chuck żyłby w przekonaniu, że wymusił na niej decyzję, której w głębi serca nie akceptowała.

Potrząsnęła głową. Abby miała rację, dziwiąc się, dlaczego miłość musi tak bardzo boleć.

W tym momencie rozległo się delikatne pukanie i w drzwiach stanął Chuck.

- Jesteś gotowa, kochanie? - zapytał z wahaniem w głosie.

Nie była w stanie odpowiedzieć. Skinęła tylko głową i podniosła z podłogi torbę.

- Pozwolisz? - Dotknął jej ramienia i wziął bagaż.

Szła za nim jak na ścięcie. W końcu - nic dziwnego. I tak bez niego będzie żywym trupem.

- Zapakowałem już trochę rzeczy do samochodu - powiedział Chuck. - Potrzebuję jeszcze kilku minut na pożegnanie z Abby i Lupe. Pójdiesz ze mną, czy poczekaś w aucie?

- Słucham? - wymamrotała. Co on mówi? Musiała się przesłyszeć. - Dokąd jedziesz?

Chuck przystanął i odwrócił się do niej.

Nigdy jeszcze nie był tak zdenerwowany. Jaka będzie reakcja Meredith?, zastanawiał się.

- Jadę z tobą. Czy naprawdę myślałaś, że po tym wszystkim mogę żyć bez ciebie?

Zamrugwała.

- Ale... ale ja lecę samolotem, a ty...

- Oczywiście. Jak inaczej dostalibyśmy się do Seattle? Przecież tam będzie nasz nowy dom, prawda?

- Przecież ty boisz się latać. Tak przynajmniej myślałam. - Meredith czuła, że cała zaczyna się trząść.

- Kochasz mnie, mimo że boję się latać? Całe

szczęście, że jestem typem, który lubi walczyć z przeciwnościami. - Zaśmiał się na cały głos, a potem do-  
dał poważnie: - Nie. Nie boję się latać. Nie lubię tego,  
bo w powietrzu decyduje za mnie ktoś inny. Kiedy  
Bryan uprowadził cię do szałasu, przyleciałem tam  
helikopterem. Nigdy się nie zastanawiałaś, jakim cu-  
dem dotarłem tam tak szybko?

- A ranczo? Komu je zostawisz?

- Zostawiłem pełnomocnictwa naszemu prawnikowi.  
Wziął na siebie całą papierkową robotę. Abby i Jake po-  
radzą sobie z resztą. A ja nareszcie zajmę się na poważnie  
naszą firmą. Kyle nie może ciągnąć wszystkiego sam.

Meredith przyłożyła dłoń do ust i patrzyła na niego  
niedowierzająco.

- Chcesz powiedzieć - wyjąkała w końcu - że  
porzucasz wszystko - dom, rodzinę, interesy - żeby  
być ze mną?

- Zdałem sobie sprawę, że kocham cię bardziej niż  
dom, rodzinę i interesy - oświadczył po prostu, pa-  
trząc z ulgą na radosną twarz Meredith.

Wtedy z jej ust usłyszał stanowcze:

- Nie!

Serce podeszło mu do krtani.

- Meredith! Kochanie! Nie odrzucaj mnie! - za-  
wołał z rozpaczą.

Ona uśmiechnęła się do niego łagodnie.

- Nie o to mi chodzi - powiedziała. - Żadne z nas

nie powinno stąd wyjeżdżać. To jest nasz dom. I to będzie dom dla nowego pokolenia Gentrych.

- Czy dobrze zrozumiałem? Piękna dziewczyna z miasta i wyjątkowo utalentowany pilot chce zostać żoną farmera? - zapytał Chuck z równym osłupieniem, co radością.

- Dobrze zrozumiałeś. Jeśli to były oświadczyzny - zostały przyjęte. A na ranchu jest helikopter. I samoloty. Mogę się wam przydać, prawda?

Kiedy pochylił się, żeby ją pocałować, oboje płakali.

Ze szczęścia, z radości, ze śmiechu.

Meredith znalazła dom. Chuck z kolei wiedział, że jego dom to ona.